

WYDANIE SPECJALNE – ŚWIĄTECZNE – 16 stron!!!

Miejska Biblioteka Publiczna
Wypożyczalnia
w Świdniku
Tygodnik

GOŁOS ŚWIDNIKA

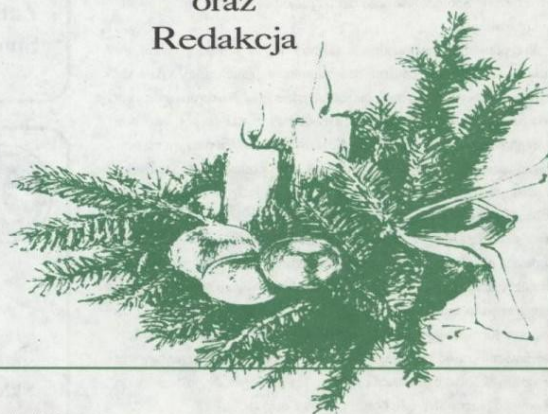
Nr 46/47 (1165/1166)

24 – 31 grudnia 1993r

Cena 3000zł



Spokojnych zdrowych świąt
Bożego Narodzenia
wytnienia od codziennych trosk
oraz pomyślności w
Nowym Roku
życzy mieszkańcom miasta
Burmistrz
Stanisław Skrok
Zarząd WSK „PZL – Świdnik”
oraz
Redakcja



W numerze:

- ✱ Rok Sokoła
- ✱ Biała plama z historii Świdnika
- ✱ Kobieta zza wschodniej granicy
- ✱ Jak wyglądają kangury z góry
- ✱ Bilans sportowego roku

Rozpoczynając pracę w 1951 roku, tj. u zarania dziejów Zakładu, nikt z nasujących nie miał kontaktu z lekarzem zakładowym. Przyjęcie do pracy trwało krótko, tyle ile czasu wymagało wypełnienie ośmio stronicowej ankiety personalnej w trzech egzemplarzach(...)

W czasie badań zorganizowanych przez Wojewódzką Stację Sanitarno-Epidemiologiczną pobrano próby krwi na WR. Wynik badań był zaskakujący - było to chyba pierwsze niechlubne miejsce we współzawodnictwie międzywojewódzkim. Do wspólnego kubka wiszącego na łańcuszku nad wiadrem z kawą, użytkownicy zaczęli odnosić się dość podejrziwie.

(Wystarczało szczepienie ospy...)



Plac Konstytucji 3-go Maja w spokojną noc zimową.
Wielu takich nocy życzymy w nadchodzącym roku naszym Czytelnikom.

Czy będziemy mieli ten powiat?

Podsumowując kończący się rok warto przypomnieć jedną z najważniejszych batalii, jaką przeprowadziły władze samorządowe - batalię o utworzenie powiatu świdnickiego. Starania o utworzenie w Świdniku powiatu, teoretycznie zakończyły się sukcesem. 1 września ogłoszono decyzję Urzędu Rady Ministrów o dołączeniu Świdnika do grona miast powiatowych. Była to jedna z nielicznych korekt dokonana na tzw. "mapie powiatów".

Mimo zahamowania prac związanych z reformą administracji państwowej, spowodowanych zmianami jakie zaszły po wyborach 19 września, o jednym należy pamiętać - że ten powiat istnieje w świadomości ludzi. Więć emocjonalna jaka istnieje między Świdnikiem a mieszkańcami przyszłego powiatu to najlepsza gwarancja rozwoju, perspektywa na przyszłość. Podczas spotkania, które odbyło się w Świdniku z prof. Andrzejem Tycem z Urzędu Rady Ministrów, wójt gminy Melgiew Wacław Motyl powiedział: "Przecież my i tak już od dawna żyjemy i wszystko robimy w tym powiecie. Bo on już i tak jest, chociaż brakuje mu tylko nazwy. Społeczność tego terenu już od dawna jest zintegrowana wokół Świdnika".

Przypomnijmy najważniejsze fakty z tej zwycięskiej batalii. Po zapowiedzianej przez Rząd reformie administracji publicznej, w połowie lutego zapadła decyzja o podjęciu starań, zmierzających do utworzenia w naszym mieście stolicy powiatu. Utworzony został zespół, na czele którego stanął Sekretarz Miasta Kazimierz Sidor. Pierwszym etapem starań zespołu było doprowadzenie do spotkania w Świdniku przedstawicieli gmin, które mogłyby być zainteresowane utworzeniem powiatu. W pierwszym spotkaniu, które odbyło się 5 marca wzięli udział przedstawiciele Melgwi, Piask, Trawnik, Rybczewic, Fajstławic, Głuska. Podczas pierwszego spotkania, przedstawiciele gmin zaskoczeni propozycją, nie byli jeszcze w stanie określić swojego stanowiska. Do tego momentu zastanawiano się w gminach nad przynależnością do powiatu lubelskiego lub łęczyńskiego, a w przypadku Rybczewic i Fajstławic do krasnostawskiego. Niemniej propozycja utworzenia powiatu ze stolicą w Świdniku okazała się na tyle atrakcyjna, że postanowiono ponownie przemyśleć swe dotychczasowe decyzje.

30 marca podczas Sejmiku Powiatowego wiele się wyjaśniło. Stało się jasne, że dla gmin znacznie korzystniejsza jest przynależność do powiatów małych. W związku z tym powołano Nadzwyczajny Zespół do spraw Powiatów, na którego czele stanął dr Zyta Gilowska. Zgodnie z intencją przedstawicieli terenu wypracował on wstępną propozycję podziału administracyjnego. Nowa propozycja rozbiła olbrzymi powiat lubelski, uwzględniając oddolną tendencję jaka wyszła ze Świdnika.

Ponownie rozpatrywanie przez Rady Gmin przynależności do powiatu świdnickiego zakończyły się poparciem dla inicjatywy Świdnika radnych z Melgwi, Rybczewic, Fajstławic i Trawnik.

Niejasne było stanowisko Piask, które podjęły starania o utworzenie powiatu piaseckiego. Mimo jednak usytuowania Piask w centrum przyszłego powiatu oraz aktywności na szczeblu ponadgminnym, jest to jednak zbyt mała miejscowość, by mogła spełniać rolę powiatu. W rezultacie również Piaski wyraziły chęć przynależności do naszego powiatu.

Radosna Nowina

Irena Wierchoś

Działo się to już prawie dwa tysiące lat temu w pewnym małym, zupełnie nikomu nie znanym miasteczku Betlejem, na samym końcu świata... Przybyło do niego zmęczone długą drogą biedne małżeństwo - cieśla Józef i jego żona, Maria. Miasteczko było przepelnione. Nigdzie nie mogli znaleźć noclegu, nawet kąta. A może nie mieli pieniędzy? Wiał zimny, coraz zimniejszy wiatr...

- Już nie mogę, Józefie - mówiła ona, coraz częściej przytrzymując się za brzuch.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, Mario. Popatrz, tam niedaleko jest jakaś szopa. Wejdźmy do niej. To chyba stajenka...

I tak oto narodził się Zbawiciel. Kiedy Maria owinęła Go w jakąś szmatkę i ułożyła w żłóbku, na sianie, ukłękła przed Nim na kolana zwierzęta. Jakaś niezwykła jasność, bijąca w środku nocy od stajenki, przyciągnęła do niej pasterzy, którzy równie oddali Mu hołd. Gwiazda betlejemka (a właściwie kometę) przyprowadziła do tego miejsca trzech egzotycznych królów, którzy przynieśli Mu swoje dary - mirrę, kadzidło i złoto. Okrutny Herod, któremu zausznicy szybko donieśli o przepowiedniach i znakach obwieszczających narodziny nowego króla, nakazał wymordowanie wszystkich nowo narodzonych chłopców. Ale anioł (a może Archanioł?) w porę ostrzegł Józefa i Marię, a potem pomógł im w ucieczce do Egiptu.

Ale może było całkiem inaczej? Może nie klękały przed Nim tej nocy zwierzęta, nie padali na kolana ludzie? Nie przynoszono z dalekich krain darów? Nie urządzano rzezi niewiniątek? Była noc, lodowaty wiatr przez nieszczęsne ściany szopy dostawał się do środka, hulał bezkarnie po całej stajence. Nowo narodzony chłopczyk, owinięty jakimś gałgankiem leżał w żłóbku, na sianie i płakał. I nikogo, oprócz Marii i Józefa, to nie obchodziło.

OGŁOSZENIA

Z okazji
Świąt Bożego Narodzenia
i Nowego Roku,
najlepsze życzenia
wszelkiej pomyślności
klientom sklepów „Społem”
składają

Pracownicy
Zarząd i Rada Nadzorcza „
Społem” PSS w Świdniku

R/S - 132



wallmar
PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLOWE

Świdnik, ul. Raclawicka 9, tel. 168-53

Sklep oferuje:

- odzież damską, męską i dziecięcą
- obuwie damskie, męskie i dziecięce
- kosmetyki

Sprzedaż detaliczna i hurtowa

Sklep „Walmar” był pierwszym sprywatyzowanym sklepem w Świdniku w roku 1990

R/S - 131

WESOŁYCH ŚWIĄT

wszystkim pacjentom życzą

GABINETY LEKARSKIE
„CENTRUM”

LUBLIN
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 20 tel. 237-34
CZYNNE 11.00 - 18.00

R/S - 145



- LARYNGOLOG
- KARDIOLOG
- DERMATOLOG
- OKULISTA
- ORTOPEDA
- GASTROLOG (GASTROSKOPIA)

Choć w tych pogoskach o ucieczce do Egiptu może jest jakaś część prawdy? Maria i Józef wrócili do Nazaretu, ale złe warunki materialne, zwykła, ludzka bieda, zmusiły ich być może do zarobkowej emigracji? Galilea - ta niegościnna, pustynna ziemia - nie była w stanie zapewnić dobrobytu swoim mieszkańcom. Zdaje się, że cały Wschód przechodził wówczas fazę ucisku podatkowego i recesji. Nie było pracy dla cieśli. Do chaty (po której pętał na czworakach mały chłopczyk) coraz częściej zaglądał głód. Być może któregoś dnia, po wielu, wielu rozmowach na ten temat, Józef i Maria zdecydowali się sprzedać za grosze cały swój dobytek? Za wszystkie uzyskane w ten sposób pieniądze kupili osiołka, Maria wzięła na ręce Jezuska, Józef włożył do parciego worka dużo i strug. I ruszyli - za chlebem - do Egiptu...

Egipt był bogaty. Dla całej biedoty z Izraela, z Judei, z Galilei stanowił "ziemię obiecaną" nie tylko od lat, ale nawet od wieków. Potrzebował; taniej, wykwalifikowanej siły roboczej. Stwarzał szanse przeżycia, dorobienia się, awansu. A po latach można było wrócić do rodzinnej wioski (lub miasteczka) z kieszeniami wypchanymi zaoszczędzonymi "dolarami", kupić dom, krowę, może nawet rozkręcić jakiś własny "biznes"?

Jakim dzieckiem był Jezus? Nikt tego nie wie. Pewnie całkowicie zwyczajnym. Trochę posłusznym, trochę upartym. Trochę pomagał Józefowi w cieszności, a trochę się uczył. Bo pewnie były jakieś żydowskie szkoły w diasporze i warstwa średnia - do której najprawdopodobniej po kilku latach zaliczali się już nasi emigranci - nie zaniedbywała obowiązków kształcenia dzieci. Kiedy powrócił do swojej kamienistej ojczyzny, umiał prowadzić zawile dysputy z "uczonymi w Piśmie" faryzeuszami. Więc pewnie się uczył...

Ale to wszystko było dużo później. Na razie jest zimna,

nieprzyjemna noc. Maria i Józef wraz z nowo narodzonym dzieciątkiem drżą z chłodu w obcym mieście, w jakiejś przygodnie napotkanej szopie. Dzieciątko usnęło. Nie trzeba go budzić. Przed nim całe, trudne życie. Życie Syna Człowieczego, który poznać musi i cierpienie i głód... Życie potomka Adama i Ewy, dla którego - jak i dla wszystkich innych - ta ziemia została przeklęta. "Cierń i oset będzie ci ona rodziła. W pocie oblicza swego będziesz musiał zdobywać pożywienie". W tej chwili - zmęczony płaczem - śpi słodko, owinięty gałgankiem na sianie w żłóbku i nie przeczuwa nawet, co Go czeka w ciągu wszystkich tych lat, kiedy będzie stapał po tej "przeklętej" ziemi.

A czeka Go dokładnie to samo, co nas wszystkich. Czeką Go normalne życie, ciężka praca, trochę radości, za to wiele niepowodzeń i goryczy. Czeką Go chwila uwielbienia, a zaraz po niej pogarda tłumów. Trochę zrozumienia u niewielu i wiele niezrozumienia u wielu. Czeką Go zdrada, opuszczenie i śmierć...

Krew, pot i łzy. Te słowa dobrze oddają sens naszej ludzkiej egzystencji. Choć nie do końca. Bo jest jeszcze i druga jej - jakże ważna - strona. Jest jeszcze miejsce na radość, na zabawę, na uśmiech. I jest w tym naszym życiu także miejsce na miłość.

A także - o czym jakże często zapominamy w naszej codziennej gonitwie - na nadzieję. Nie! Właściwie źle to napisałem. Na Nadzieję! Przez duże "N"! Na tę Nadzieję, którą każdy z nas, od prawie dwóch tysięcy lat, ma już daną. Ale to wszystko przyjdzie później... Na to wszystko będzie jeszcze czas...

Na razie mały Jezuszek właśnie się obudził. Maria bierze Go na ręce, uspokaja, kołysze. Noc jest księżycowa, gwiazdzista, jasna. Podnosi Go do światła, pokazuje Józefowi.

- Popatrz, jaki on jest śliczny - mówi...

Cezary Listowski

Jak wyglądają kangury z góry

Nato pytanie z autopsji mogą odpowiedzieć tylko nieliczni świdniczanin, a z pewnością osobą najbardziej kompetentną będzie tu WIESŁAW MYŚZAK, który po blisko ośmiu latach pobytu w Sydney odwiedził niespodziewanie rodzinne miasto. Przybył prywatnie, ale w interesach. Trzy miesiące przeznaczone na wizytę w ojczystym kraju zamierza wykorzystać niezwykle intensywnie. Motywem przewodnim Jego przyjazdu jest zamiar rozpoznania możliwości handlu polskim sprzętem lotniczym - szczególnie szybowcami i małymi samolotami wielozadaniowymi.

Pierwsze rozmowy odbył w Dziale Marketingu WSK "PZL-ŚWIDNIK" starając się uzyskać prawo do promocji i sprzedaży szybowców PW-5 "SMYK" w Australii i Oceanii dla firmy "AMYS AVIATION", której wraz z bratem jest właścicielem. Cały dzień przebywał w laboratoriach Wydziału Mechanicznego, Elektrycznego i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej zapoznając się z najnowszymi udoskonaleniami tego modelu. Obiecując na przyszłość ustalenia wyniósł z negocjacji w stołecznych Doświadczalnych Warsztatach Lotniczych Konstrukcji Kompozytowych, gdzie planuje zakupić dla siebie szybowiec PW-2D "GAPA D". Niedawno powrócił z owocnej wyprawy do Przedsiębiorstwa Doświadczalno-Produkcyjnego Szybownictwa "PZL-BIELSKO" (PW-5 przechodzi tam próby w locie). Zdażył już spotkać się także z kierownictwem Działu Handlowego PZL "WARSZAWA-OKĘCIE" omawiając perspektywy rozwoju wzajemnych kontaktów.

Ten 40-letni dziś wychowanek miejscowego liceum, były student Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii UMCS, ceniony przez działaczy i uczniów instruktor AEROKLUBU ROBOTNICZEGO, ex-pracownik Działu Inwestycji WSK i Wytwórni Wód Gazowanych przy Gminnej Spółdzielni "SAMOPOMOC CHŁOPSKA" koło "starej stacji", potem taksówkarz w Sydney, pilot samolotowy i członek ekskluzywnego SOUTHERN CROSS GLIDING CLUB w

pragnienie latania. Zdecydowało w końcu to ostatnie. W 1984 r. w wyniku fali weryfikacji członków aeroklubów - jaka przetoczyła się przez kraj po serii ucieczek samolotowych na Zachód - zostałem odsunięty od lotnictwa. Decyzja ta była dla mnie ogromnym zaskoczeniem, tym bardziej, że przyczyn jej podjęcia nikt mi nigdy oficjalnie nie zakomunikował. Coraz mocniej zaczęło dojrzywać we mnie bolesne postanowienie wyjazdu na stałe z Polski. Wybór padł na Australię, do której kilka lat wcześniej via Wiedeń trafił mój brat Mietek. I tak w maju 1986 r. wysiadłem na płytę lotniska w Sydney z 20-kilogramową walizką całego dobytku i z 50 dolarami amerykańskimi w kieszeni. Trzydzieści trzy lata spędzone w PRL uważałem za zamknięty okres w swoim życiu...

● Jak trafiłeś do tamtejszego lotnictwa? Czy uznano twoje licencje i uprawnienia przywiezione z Polski?

Wymagało to dużo wysiłku i pieniędzy, bowiem w Australii wszyscy latają na własny koszt. Ostatecznie dopiąłem swego. Moje papiery zabrane z kraju były oczywiście honorowane. Przez parę lat szkoliłem się podwyższając posiadane kwalifikacje, uczyłem również nowych adeptów sztuki pilotażu.

Najczęściej można mnie spotkać w Bankstown - moim macierzystym lotnisku w Sydney, ale udzielam się także aktywnie w klubie szybowcowym w Camden, prześlicznie położonej 70 km dalej na południe miejscowości. Oblatałem bezkresne obszary buszu i oceanu, byłem na Tasmanii i w Nowej Zelandii, krążyłem godzinami nad wielką rafą koralową. W chwilach brawury mknę maszyną z głową do dołu i podziwiam w tej pozycji kangury z góry...

● Twój brat Mietek od szeregu lat prowadzi w Sydney dobrze prosperującą przedsiębiorstwo projektowo-budowlane "AMYS CONSTRUCTION". Obaj jesteście mocno zaangażowani w przedsięwzięcia oparte o "NETWORK-MARKETING" ciesząc się ogromną popularnością na Zachodzie i coraz śmielej

wiadam - tak! Niektóre modele sprzętu lotniczego wytwarzanego w Polsce są na najwyższym światowym poziomie. Kuleje tylko trochę marketing, obsługa serwisowa, elastyczność i szybkość dostosowań producentów do indywidualnych życzeń klientów, itp. Nie boimy się zainwestować sporych pieniędzy w reklamę i rozwój sieci dystrybucyjnej polskich wyrobów. To pewny

roznorodność klimatyczną, niezmiennie bogatą przyrodę. Ludzie są nadzwyczaj przyjaźni, chociaż to "zbieranina" z całego ziemskiego globu. Liczna jest Polonia, której pozycja społeczna, polityczna i ekonomiczna stale rośnie. Pragniemy z bratem dołożyć naszą cegiełkę do dzieła konsolidacji swego lobby, również drogą zacieśniania stosunków gospodarczych z polskimi firmami.



biznes! Dobrze znam preferencje i chłonność rynku australijskiego i nowozelandzkiego w tym zakresie. Wyrobiłem sobie niezłe układy w stowarzyszeniach lotniczych i aeroklubach, a ponadto mam dziesiątki przyjaciół wśród pilotów, z których wielu jest autentycznymi milionerami. Zasiadają oni w wolnych chwilach m.in. za sterami naszych szybowców i bardzo chwalą ich własności techniczno-eksploatacyjne. W regionie tym istnieje 113 klubów szybowcowych - 84 w Australii i 29 w Nowej Zelandii. W 30 z nich użytkowane są bielskie "JANTARY", "PUCHACZE", "JUNIORY", "BOCIANY", "FOKI", "COBRY" i "PIRATY". Dwa "PIRATY" są świdnickiej produkcji! Ogółem lata ponad 100 szybowców wykonanych w Polsce oraz 4 "WILGI", 2 "DROMADERY", 1 An-2, a także... 4 "MIGI" (15 i 17) odsprzedane przez wojsko tamtejszym hobbystom. Śmigłowców z WSK jeszcze nie ma, choć sądzę, że "SOKÓŁ" ma poważne szanse znaleźć się na tym rynku. By osiągnąć sukces do każdego zadania należy podchodzić profesjonalnie. Dlatego na przykład plan promocji szybowca PW-5 opracowaliśmy po zasięgnięciu porady w renomowanej firmie konsultingowej BDW "AVIATION SERVICES" z Sydney. Bardzo się on spodobał specjalistom z zakładu, którym go zaprezentowałem - inż. Andrzejowi Kokoszce, inż. Andrzejowi Stachyrze i inż. Markowi Mikoszowi. Pragniemy rozpocząć od sprzedaży PW-5 w Australii i Oceanii, jednocześnie szukamy możliwości zbytu motolotni "ML-1", później zajmniemy się śmigłowcami i innymi statkami powietrznymi. Atrakcyjność tego rejonu jest niebywała, a podnosi ją jeszcze atut rachitycznego stanu rodzimej produkcji lotniczej. W każdym razie jest to istny raj dla szybowców! Tą okoliczność trzeba wykorzystać maksymalnie.

● Jakże są twoje zamierzenia na najbliższe lata? Nie zakładasz przypadkiem ewentualnego powrotu do kraju...

Mam podwójne obywatelstwo. W 1989 r. po uroczystej ceremonii przysięgi na wierność królowej angielskiej stałem się pełnoprawnym członkiem australijskiej społeczności. W Sydney zdażyłem zapuścić głęboko swoje korzenie. Tam znalazłem swą drugą Ojczyznę i prawdopodobnie w krainie eukaliptusów, kangurów i koala spędzę resztę żywota. Ten kraj-kontynent jest niezwykle fascynujący. Posiada znakomite walory turystyczne,

Iluz to znajomych ze Świdnika koleje losu rzuciły w dalekie strony? Rysiek Szlendak, Marek Smolarkiewicz, Józef Seńko, Rysiek Kuć w Kanadzie, Zbigniew Puczek w Stanach Zjednoczonych, Zygmunt Strumiński, Edek i Bożena Bachowie, Jasio i Ania Brendlerowie w Niemczech, Kuba Kapica, Krzysiek Luchowski we Francji, Zygmunt Fabiański w Belgii, Paweł Dobrowolski we Włoszech, Andrzej Koleśnikow w Wielkiej Brytanii - przykłady można by mnożyć! Wspomnijmy ich przy świątecznym stole i chwile ongiś wspólnie spędzone na podwórku, w szkole, na studiach, w pracy...Cóż, święta na obczyźnie nie są takie radosne jak na łonie rodziny w kraju przodków. Każdy niemniej jest kowalem swego losu i sam szuka szczęścia choćby i pod Krzyżem Południa, na antypodach. Wiele z pewnością go znalazło na emigracji, ale spora rzesza rodaków po latach tułaczki najchętniej wróciłaby szybko do Polski, gdyby miała za co lub do czego. Jeszcze w 1989 r. wystarczyło przywieźć 5 tysięcy dolarów, by się w kraju dobrze urządzić do końca życia. Teraz trzeba ich mieć przynajmniej pięć razy tyle, aby się zdecydować na drugą w gruncie rzeczy emigrację...

● By zakończyć optymistycznym akcentem ten wątek naszej dyskusji pozwól sobie stwierdzić, że dzięki tym ludziom kula ziemiska stała się dla nas poniekąd jedną globalną wioską. Gdzie przyjaciel - tam dom! Nieprawdaż?

To fakt. W ostatnich latach odnosi się wrażenie jakby odległości zmalały. Dodam tu jeszcze spostrzeżenie, iż polski paszport jest obecnie jednym z najwspanialszych tego typu dokumentów w świecie. Przed jego posiadaczami stoją otworem granice prawie wszystkich państw. Wystarczy wsiąść do pociągu byle jakiego, lecz absolutnie nie namawiam nikogo do opuszczania terytorium RP w poszukiwaniu "miodu"! Tutaj jest odcienie miejsce naszej nacji i bądźmy w pełni świadomi, że na zachodzie, wschodzie, północy czy południu nie oczekują nas zbytnio, nawet w charakterze taniej siły roboczej.

● Dziękuję Ci za "INTERVIEW", bardzo miło było się spotkać po tak długiej przerwie. W nadchodzącym 1994 r. Tobie i "AMYS AVIATION" życzę wysokich i udanych lotów!

rozmawiał Jan Tarajko



Camden tryska wręcz energią i inwencją. Skromnie podkreśla, iż znakomitą kondycję psychofizyczną zawdzięcza wegetariańskiemu trybowi życia. Swoją karierę lotniczą rozpoczął w 1969 roku od szkolenia na świdnickim lotnisku w grupie Kazimierza Kozaka. Jeszcze teraz ze szczegółami pamięta emocje towarzyszące mu podczas pierwszego startu i lądowania w szybowcu "CZAPLA".

● Cóż więc Cię Wiesiu zaniósło na drugi koniec świata?

Bezpośrednio Boeing-747 "YUMBO-YET" holenderskich linii KLM... A tak w ogóle to moja nieokreślona żądza przygód, chęć poznania świata, uміłowanie wolności i

wkraczające do nas. W tym roku razem założyliśmy dynamicznie się rozwijającą firmę "AMYS AVIATION". Jak mi wcześniej powiedziałeś podstawową ideą tego zamysłu jest handel techniką lotniczą. Znam twoje wysokie zdanie o naszych szybowcach, samolotach i śmigłowcu "Sokół". Czy jednak przy tak wielkiej konkurencji w tej dziedzinie wyroby znad Wisły mogą śmiało się zmierzyć z produkcją reszty świata? Czy wasze doświadczenie, znajomość rynku i wreszcie posiadane finanse są wystarczające, by startować w tak ryzykowną i kosztowną działalność?

Na oba te pytania zdecydowanie odpo-

Moją uwagę przyciągnął gruby warkocz i futro ze srebrnych lisów, niezły makijaż, biżuteria.

Z odrobiną zazdrości spojrzełam po raz kolejny na stojącą przede mną kobietę. Tym razem dojrzałam jeszcze legginsy z angory w modnym kolorze brudnego różu. Całość była elegancka, pachnąca.

Kobieta odezwała się i z ogromnym zdziwieniem usłyszałam, że mówi z typowym rosyjskim zaśpiewem. Rosjanka i taka elegancka?! Do tej pory kobiety zza wschodniej granicy kojarzyły mi się raczej z postawnymi, piersiastymi babami, w dziwacznych czapko-beretach i za wąskich pelisach. Zwykle widziałam je na targu, przy rozłożonym towarze, jedzące krojoną w paski słoninę.

A jeżeli były już młodsze i szczuplejsze, to koniecznie z przesadnie utlenionymi włosami i równie mocnym makijażem.

Zanim zdecydowałam się na zawarcie znajomości z elegancką Rosjanką, zniknęła gdzieś w tłumie kupujących.

Po raz drugi spotkałam ją dokładnie za rok. Równie zgrabna, choć może nieco bardziej zmęczona. Tym razem udało mi się zaspokoić ciekawość. Marika jest w Polsce od sześciu lat. Ma kartę stałego pobytu, a więc może legalnie pracować, jest ubezpieczona. U nas wyszła ponownie za mąż, kilka miesięcy temu urodziła synka.

Mieszkałam na Ukrainie.

Moi dziadkowie pochodzą z Włodzimierza Wołyńskiego. Dziadek zawsze chwalił się, że ma lepsze niż my wykształcenie, bo skończył trzy klasy polskiej przedwojennej szkoły.

Z Polakami zetknęłam się przypadkowo. Jeździli przez Czerniowce na handel do Turcji. Tak poznałam i zaprzyjaźniłam się z rodziną ze Świdnika.

Po jakimś czasie przysłali mi zaproszenie na ślub syna. Zdecydowałam się przyjechać. Mimo, że spóźniłam się o jeden dzień, uroczystości bardzo mi się podobały. Świetnie się bawiłam. Wtedy poznałam mego obecnego męża. I jakoś tak zostałam. Potem przywiozłam swoją córeczkę. Nie przyjechałam do Polski z biedą. Wtedy jeszcze u nas

nie działo się tak źle jak dzisiaj. Nawet nie spodziewaliśmy się, że mogą przyjść tak ciężkie czasy.

Choć może niektórzy to przeczuwali. W Czerniowcach mieszkało sporo Żydów. Oni pierwsi zaczęli wyjeżdżać. 5-6 lat temu. Dla mnie to było takie niezrozumiałe. Zostawiali ładne mieszkania, samochody, dachy na wsi i emigrowali do Niemiec, Izraela, do Stanów Zjednoczonych. Moja przyjaciółka Natasa, już przed samym wyjazdem namawiała - rzuć to wszystko i uciekaj. Tu przyjdą ciężkie czasy. Nie będzie nawet co jeść.

Zupełnie w to nie wierzyłam, a zresztą

byłam nieźle urządzona.

Ojciec zajmował eksponowane stanowisko, więc mógł załatwić mi mieszkanie. Dostałam je na osiemnaste urodziny. Miałam też dobrą pracę. Po skończeniu technikum handlowego nie chciałam się dalej uczyć. Skoro nadarzyła się okazja, rozpoczęłam pracę w sklepie z luksusowymi towarami spożywczymi. Coś na wzór waszych sklepów komercyjnych.

Rozmowę przerywał płacz małego dziecka. Maluch już od kilku chwil sygnalizował swoje zniecierpliwienie. Po prostu przyszła pora karmienia.

W małym, ale przytulnym mieszkanku, znalazłam tylko jeden rosyjski akcent - kolekcję kolorowych, drewnianych bab Matrioszek.

- Szuka pani samowara - śmieje się Marika. Nie lubię takiej herbaty. Wolę parzoną "po polsku", z fusami w szklance. Samowar oddałam znajomym. Nawet kawę nauczyłam się pić parzoną w filiżance, choć nie dorównuje smakiem tej z ekspresu.

Czułam się znacznie lepiej dopóki pracowałam i sama

zarabiałam. Miałam sklepik z ubraniami w Lublinie. Zaopatrywałam się prawie w całej Polsce. Dużo jeździłam by kupić tanio i coś ciekawego. Kosmetyki i perfumy najlepszych francuskich firm przywoziłam z Ukrainy.

KOBIETA ZZA WSCHODNIEJ GRANICY

Lubię być w ruchu.

Siedzenie w domu jest uciążliwe, a poza tym wszystko tak szybko drożeje. Z przerażeniem myślę o przyszłości. Nie bardzo widzę swoje miejsce. Najchętniej założyłabym własną firmę ale na to trzeba dużych pieniędzy. A my mieliśmy trochę niepowodzeń finansowych, ukradli nam samochód, który nie był ubezpieczony.

Miałam propozycję uczenia języka rosyjskiego. Wcześniej jednak musiałabym skończyć dwuletni kurs pedagogiczny. Niestety mój synek jest jeszcze za mały. Trochę go podchowałam i chyba zaczęłam się uczyć.

Gdy jestem w Polsce tęsknię za Czerniowcami. Jądem tam i czym prędzej wracam do Świdnika. Zmiany jakie zaszły w moim rodzinnym mieście w ciągu ostatnich dwóch lat, są wprost przerażające. Brudno, głodno, niebezpiecznie. Elektryczność i gaz tylko do godziny 6,00 wieczorem. Wszędzie trzeba dawać łapówki.

Milicjant zatrzymuje na ulicy za urojone wykroczenie. Straszy dotąd, aż coś dostanie. Dolary, żywność, ubranie.

Kilka dni temu mąż jechał do moich rodziców, więc podałam trochę wędliny, serów, ubrań. Zaraz po przejściu granicy zatrzymał go milicjant i od razu upomniał się o łapówkę. Thumaczył, że ma do wykarmienia małe dzieci. Zabrał całą kielbasę, inny paczkę papierosów. I tak bez końca.

Wrastam tu w Polskę coraz bardziej. Nie ma mowy o powrocie na Ukrainę. Tam nie ma po co wracać.

Co ją w Polsce najbardziej zadiwiło.

Marika w pierwszej chwili nie bardzo wie jak odpowiedzieć. Przyzwyczaiła się już do naszych warunków. Jednak leżący w łóżeczku synek przypomina pierwsze wrażenia z pobytu w Polsce.

- Zaskoczyło mnie to, że Polki mają tak dużo dzieci. U nas jedno i dość. Wśród moich koleżanek, tylko ja mam dwoje. Gdy zobaczyły, że jestem w ciąży z drugim dzieckiem, były zaskokowane. Na Ukrainie łatwo o rozwód i przerwanie ciąży.

W Polsce mężczyźni mają więcej swobody. Jakies wieczorne wyjścia, spotkania w klubach, przy piwie. Ukraińki lubią mieć mężów przy sobie, w przeciwnym razie bardzo się pieklą. Ale, z kolei w Polsce, częściej stykam się z tym, że mężowie biją żony. I to wcale nie tylko w rodzinach z marginesu. Ostatnio na przykład znajomy, mężczyzna wykształcony, dla obcych miły i grzeczny, skopał żonę, która jest w ciąży. To był dla mnie szok.

Marika myśli o przyszłości swoich dzieci w nowej ojczyźnie. Chce ułatwić córeczce przystosowanie się do polskich warunków, naukę języka. Wysłała ją do szkoły społecznej. Dziewczynka jest zachwycona koleżankami, pływaniem w basenie, spokojem w niedużej szkole. Najbardziej lubi język angielski, bo uczy go fajna pani. Wcale nie tęskni za pozostawionym na Ukrainie swoim dawnym światem.

Anna Konopka

Ze wspomnień pacjentki

WYSTARCZAŁO SZCZEPIENIE OSPY...

Rozpoczynając pracę w 1951 roku, tj. u zarania dziejów Zakładu, nikt z nas nowo wstępujących nie miał kontaktu z lekarzem zakładowym. Przyjęcie do pracy trwało krótko, tyle ile czasu wymagało wypełnienie ośmiostronicowej ankiety personalnej w trzech egzemplarzach i rozmowa z personalnym - zawsze krótka i miła. Budujący się Zakład potrzebował ludzi, szczególnie tych z kwalifikacjami. Jako załącznik do ankiety każdy

z nas miał aktualne świadectwo szczepienia duru i ospy, co stanowiło wystarczającą informację o stanie zdrowia. Wprawdzie w rejonie obecnego basenu stał baraczek w którym mieściły się biura budowlane i czasem bywał tam lekarz lub stomatolog, najczęściej jednak była pielęgniarka, i mało kto korzystał z porad lekarza. Na terenie Zakładu WSK, tj. w biurówcu zajmowanym obecnie przez Straż przemysłową i na produkcji mieszczącej się w hali obecnej

ekspedycji, lekarza nie było. Nie było też żadnej opieki lekarskiej na terenie Zakładu w tych pierwszych miesiącach roku 1951. Już jesienią jednak 1951, w małym budynku baracku powstała izba lekarska. Barak stał w lesie, gdzieś w pobliżu obecnego magazynu odzieżowego (lasem wtedy zarastał obszar na którym powstał Zakład). Z barackiem zapoznała się niewielka jeszcze załoga WSK i liczne w tym okresie załogi budowlanych, w czasie badań zorganizowanych przez Wojewódzką Stację Sanitarno-Epidemiologiczną. Pobrano próby krwi na WR. Wynik badań był zaskakujący - było to chyba pierwsze niechlubne miejsce we

współzawodnictwie międzywojewódzkim. Zaostrzono więc przepisy sanitarne. Odkazano 2 (dwie) ubikacje i kilka drewnianych szaleatów na terenie budowy, rozlepieno kilka uświadamiających afiszy. Do wspólnego kubka wiszącego na łańcuszku nad wiadrem z kawą, użytkownicy zaczęli odnosić się dość podejrzliwie zaopatrując się we własne naczynia. Odkazano też zawsze brudną stołową zakładawą. Stołówka była już latem 1951 roku. Mieściła się w baraku przed Zakładem i gotowała niezmiennie zupę na rąbance na I-sze danie, a kawał tejże rąbki z ziemniakami na danie II-

dokończenie na str.12



Pierwszy program Telewizji Kablowej Świdnik został wyemitowany w Wieczór Wigilijny 1992 roku do 60 mieszkań, w których podłączono pierwsze gniazdko sieci. W Wigilię 1993 roku program świąteczny będzie mogła obejrzeć już prawie połowa świdniczan.

Praca w gazecie, radiu i telewizji to trzy zupełnie różne oblicza tego samego zawodu. Gazeta daje luksus anonimowości. Można przyciąć się za pseudonimem, wypieścić każde słowo, skreślić po całodziennym namyśle zdanie, albo całą stronę maszynopisu. Radio jest bardziej nieodwołalne i "darwinowskie" w wymaganiach. Trzeba mieć trochę głosu, wyćwiczonej dykcji, zdolności do klejenia słów w płynne zdania. W dalszym ciągu jednak ludzie nie znają mówiącego z twarzy. Przypominam sobie telewizyjny wywiad ze znanym prezenterem radiowej "Trójki" Piotrem Kaczkowskim, podczas którego jego twarz pozostawała cały czas w cieniu nie dając możliwości rozpoznania rysów. Pamiętam to i rozumiem. W telewizji prezentera może skompromitować wszystko: grymas, sposób siedzenia, złe oświetlenie. Nie można ukryć się pod farbą drukarską, ani za głośnikiem radia. W telewizji mają cię całego jak na dłoni.

Dziesięciu lokatorów kawalerki

Życie studia Telewizji Kablowej Świdnik toczy się w jednym pomieszczeniu o powierzchni około 50 mkw. Kawosze i palacze oczekujący na swoją kolejkę do stanowiska montażowego rozgrzewają do białości nerwy montujących właśnie program gawędami o zeszłorocznym śniegu. Ciągłe wojny o ciszę doprowadziły do podziału kawalerki na trzy części: reżysernię, studio i stołówkę. Separacja okazała się mało skuteczna, gdyż przygotowane naprzęd kanapki najbardziej smakują w towarzystwie, zwłaszcza gdy towarzystwo jest w komplecie.

Funkcja celu, a wartości artystyczne

W telewizji komercyjnej (a TKŚ jest telewizją komercyjną), jak w żadnej innej wynika problem, dla kogo robi się program. Podczas planowań z udziałem właścicieli firmy, zespół redakcyjny, a zwłaszcza jego część która ma już jakąś dziennikarską przeszłość, przechodzi przyspieszony kurs kapitalizmu. Dowiaduje się, że programu nie robi się dla ludzi, tylko dla wypełnienia "funkcji celu", czyli zarobienia pieniędzy. Po chwili buntu przychodzi refleksja, że właściwie to prawda. Skoro ktoś postanowił żyć z robienia telewizji, to nie może sobie pozwolić na luksus produkowania za własne pieniądze czegoś, co daje jedynie satysfakcję. W efekcie zawierany jest niepisany, zginił, choć może nie do końca bezsensowny kompromis. Oficjalnym nurtem toczy się realizacja "funkcji celu", w podziemiu każdy

próbuję rozwijać własne zainteresowania.

Jak Wieśka uszczypnęła Piotrkę

Wiesia Kadłubowska, lat niewiele, filigranowa blondynka. Ma teatralne zainteresowania i doświadczenie. Mistrzami świata w doprowadzaniu się do szewskiej pasji. Wbijają wtedy wzrok i głos w ofiarę jakby chciała ją pozabawić życia.

Było tak - opowiada Piotr Smoliński. Posłaliśmy z Wiesią na materiał do działkowców.

Całą drogę Wiesia klarowała mi, że podczas rozmowy na planie nie mam prawa pokazać jej ani razu. Ponieważ następnego dnia miałem jechać do dziewczyny, niewiele uwagi poświęcałem już tłumaczeniom Wieśki, ale przy którymś odezwanu: mnie nie filmuj, poradziłem jej żeby się odczepiła. Do roboty przystąpiłem według własnej koncepcji. Przy pytaniu - najazd na pytającego, przy odpowiedzi - na odpowiadającego. Kiedy Wieśka zorientowała się co nakręciłem, zaczęła robić wszystko od nowa. No więc zrobiłem - znowu po swojemu. Po skończonych zdjęciach Wiesia niby to zwijając kabel mikrofonowy zbliżała się do mnie i ze zjadliwym "ty ze mną nie dyskutuj!" ciach! mnie w rękę...

Telewizja akademicka

Program lokalny TKŚ powstaje w przerwach między wykładami i kolokwiami. Przekonuje o tym lektura listy plac.

Bożena Goś - lat, jeśli to możliwe, jeszcze mniej od Wiesi. Studiuję na drugim roku archeologii UMCS. Upięra się, że tylko wyostrzona samokontrola pozwala jej nie zakatować rozmowy opowiadaniem o kopaniu dołów. Bożena ma wszelkie dane, by osiągnąć sukces w massmediach, chociaż i jej zdarza się trzygodzinne nagrywanie piętnastominutowego serwisu informacyjnego.

Piotrus Smoliński ma 22 lata i radość życia sześciolatka. Dwa razy zdawał na reżyserię do Łodzi. Mój życiorys jest bogaty - mówi. Mam zawód o najdłuższej nazwie na świecie. Jestem technikiem mechanikiem technologii budowy osprzętu lotniczego i lotniczych przyrządów pokładowych o specjalności budowa osprzętu lotniczego i lotniczych przyrządów pokładowych. Pół roku studiowałem zaocznie na prawie, gdzie przekonałem się, że jedynym sprawiedliwym prawem jest prawo ciążenia. Kolejne pół roku spędziłem na dziennej politechnice. Minionych sześć miesięcy Piotr wytrzymał studiując socjologię na KUL-u. Chyba czuje, że czas na zmiany, bo

twierdzi, że ostatnio robi same nieinteresujące rzeczy.

Aneta Leszczyńska - mianowana tuż przed wakacjami dyplomowanym politologiem i Dorota Czerwogrodzka-Gał. Dwie blondynki. Dorota potrafi zadziwić zdolnością błyskawicznego ułożenia tekstu zapowiedzi. Imponuje kulturą języka polonisty. Ma szczególne zamiłowanie do kręcenia programów katolickich. Mówi przekonująco o ich pożyteczności, co każdemu z czasami wątpliwości: kościół dla tele-

Leszek Rubaj - 22 lata, student pierwszego roku Wydziału Elektrycznego Politechniki Lubelskiej. Przyszedł do telewizji 15 października więc nie stracił jeszcze spokoju. Twierdzi nieugięcie, że zawsze marzył o pracy w telewizji. Do nauki w technikum elektronicznym namówiła go babcia. Do TKŚ trafił z ogłoszenia. Chciał pracować za stołem montażowym, ale że w kapitalistycznej telewizji zdarzają się błyskawiczne kariery, dziś już próbuje swoich sił przed

W TELEWIZJI MAJĄ CIĘ CAŁEGO

wizji, czy telewizja dla kościoła. Aneta zrobiła swego czasu furorę na targu bravurowym reporterskim przemarszem wraz z towarzyszącą jej kamerą.

Tomek Makowski. 27 lat. Jego pisańca od roku w Wydziale Nauk Politycznych UMCS praca magisterska na temat "Rozwiązanie Układu Warszawskiego" obrosła legendą dzieła doskonałego in spe.

Równo za pięć dni mnie rok, odkąd pojawiłem się w studiu - mówi Tomasz. Wcześniej współpracowałem z "Gazetą Wyborczą". O powstawaniu telewizji kablowej dowiedziałem się od burmistrza. Przyszedłem do pani Marii Mazurek - wówczas szefa produkcji i zapytałem, czy mógłbym podjąć współpracę z telewizją w charakterze reportera. Niech pan przujdzie jutro - powiedziała pani Maria i były to już wszystkie formalności. Następnego dnia poszedłem z sitkiem na wywiad z dyrektorem WSK Mieczysławem Majewskim. Jak wracaliśmy od dyrektora jakimś facetowi na targu uciekał z torby ryba. Pani Maria doskoczyła do niego: niech pan ją wypuści jeszcze raz... W ten sposób oko kamery "przypadek" sfilmowało ten niecodzienny incydent.

Osobna historia, to wywiad z ówczesnym wicepremierem Henrykiem Goryszewskim. Złapałem go na korytarzu biurowca WSK. Zadałem pytanie, Goryszewski odpowiada, a ja czuję coś na plecach i słyszę szept: kończmy już ten wywiad! Przy drugim pytaniu znowu poczułem ucisk na plecach, tym razem ochroniarz przyłożył coś twardszego. Rzuciłem trzecie pytanie i nawet nieżywy wywiad z tego wyszedł. Zmontowanie dziesięciminutowej rozmowy wydawało się wtedy monstrualnym przedsięwzięciem.

Krzysztof Stawicki - 34 lata, kierownik produkcji i jedyny etatowy pracownik programu lokalnego. Stale między młotem wymagających szefów firmy i kowadłem niefrasobliwej trójdki "artystów", którzy pracują kiedy chcą. Ma za sobą splendor pracy w Telewizji Lublin i uciążliwości bezrobocia. Z natury spokojny, coraz rzadziej ma okazję manifestować ten swój naturalny spokój.

kamerą jako specjalista od wiadomości sportowych.

Funkcję seniora według kryterium wieku pełni 35 letni Waldek Lemieszek dźwigający - nieraz cały dzień kamerą dla pieniędzy.

Telewizja za dwie stowy

Tyle mniej więcej, w tysiącach złotych, zarabiali miesięcznie autorzy programów TKŚ jeszcze do września. Dziś postęć w tej dziedzinie jest szalony, gdyż zarabiają nawet do dwóch i pół raza więcej. Tomek opowiada, jak wyjechał z Wiesią na letni reportaż o koloniach dla dzieci z ubogich rodzin. Ktoś zaczął im opowiadać, w jak trudnym położeniu znajdują się dzieci: - ale wy pewnie pracując w telewizji nie macie tych problemów - przerwał po chwili konfidencjonalnie....

Wiesia zauważa już uciążliwości związane z byciem osobą publiczną. Wprawdzie poznają ludzi na ulicy, a ekspedientki w sklepie obsługują uprzejmiej niż innych, ale uważa, że wiele spraw trudniej przychodzi jej załatwić, niż dawniej. Tomek natomiast twierdzi, że o wiele łatwiej zebrać materiał informacyjny do codziennego serwisu niż kiedy współpracował z "Gazetą Wyborczą". Do "swojej" telewizji ludzie mają więcej zaufania niż do kogoś z zewnątrz.

Co mówią na wydziale

Waldek Lemieszek zarabia na życie w WSK, więc zna obiegową opinię o telewizji kablowej. Telewizja postrzegana jest jako zbyt urzędowa. Ludzie interesują się bardziej wydarzeniami na ulicy niż w oficjalnych budynkach. Dobrą stroną jest fakt, że nikt nie ma problemów z przypomnieniem sobie nazwisk miejskich decydentów. A jednak po 12 miesiącach aktywności Telewizja Kablowa Świdnik zaistniała już w świadomości mieszkańców miasta. Dzieci dopytyują się o nowe konkursy, dorosli dzwonią, żeby ochrzanić za słaby dźwięk, albo obraz. Mają pretensje - dobra nasza. Znaczą, że oglądają.

Jan Mazur

Jak kupiłem obraz Sajnajówny

"Nie kupuj kota w worku" - to powiedzenie dotyczy również zakupów dzieł sztuki, może zwłaszcza tego rodzaju zakupów. Dlatego przed aukcją obejrzałem sobie obrazy, batiki i grafiki wystawione w holu kina Lot. Collage 13 letniej Agnieszki Sajnaj od razu wpadł mi w oko i właściwie tylko żeby potwierdzić swój wybór zapytałem o opinię na jego temat Mariusza Bielaka, plastyka ze Szkoły Podstawowej nr 5, pod którego opieką powstała praca Agnieszki... Zapewnienie, że chętnie sam kupiłby obraz Agnieszki wystarczyło mi za wszelkie ekspertyzy.

●●●

Nie tylko cztery doskonałe collage (trzy wyszły spod rąk Marty Madzelan, Anny Łyżwy i Magdy Żmijewskiej) przykuwały wzrok. Piękne batiki mogłyby stać się ozdobą reprezentacyjnego pokoju każdego domu. Odpowiednio eksponowany batik nadaje charakter całemu wnętrzu. Sztuki batiku uczy w "piątce" Urszula Dolecka.

●●●

Batiki poszły jednak "do ludzi" w drugiej kolejności. Najpierw prowadzący aukcję dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury Piotr Duma sprzedawał najlepsze grafiki. Oprawione sztywno w szkło sprawiały świetne wrażenie. Pierwszych nabywców znalazły prace Artura Komadowskiego ze szkoły nr 3 i najmłodszej

artystki sprzedającej na aukcji swoją pracę, 8 letniej Kamili Szupilk. Pierwsze większe pieniądze zarobiła Kasia Sadurska podopieczna Elżbiety Banaszewskiej. Jej ojciec walczył bohatercko o zakup oryginalnego kolorystycznie pejzażu z łódkami, jednak musiał ustąpić przed uporem pewnego młodego entuzjasty żagli, który podbił cenę z 70 do 170 tysięcy złotych. Tatusi Kasi powetował jednak córcę strata sprawiając jej piękny, nastrojowy batik o wrzosowo fioletowej barwnej tonacji autorstwa Pawła Kopczyńskiego za, jak sam stwierdził, okazując cenę 150 tysięcy. Zacięta i co ważniejsze zwycięską walkę stoczył również ojciec Pawła Piotrowicza pokonując dyrektora Szkoły Podstawowej nr 1 Wiesława Ksińskiego i sekretarza miasta Kazimierza Sidora. Rekord ceny wśród batików pobił "Klaun" wykonany przez Dorotę Kochanowską kupiony za 350 tysięcy przez spółkę "Niebezpieczne Dziełaczyny" i подарowany ulubionej nau-czy-cielce, zastępcy dyrektora SP nr 5 pani Ewie Hawrysz.

●●●

Jedne grafiki ogląda się najlepiej z bliska. Inne tracą na bezpośrednim kontakcie. Doskonale natomiast prezentują się w większych pomieszczeniach. Czasem obraz podświetlony z lewej strony aspiruje do rangi dzieła, podczas gdy prawostronne oświetlenie sprowadza go do roli

bohomażu. Collage Agnieszki wyglądał na aukcyjnej scenie ku mojej radości właśnie cokolwiek bohomażowo. Niestety przed zlicowaniem ktoś wyciągnął go w kierunku światła i odsłonił ukryte w półmroku zalety.

●●●

Tego rodzaju prace Hasióra wyglądają na zamku w Lublinie znacznie gorzej - powiedział zastępca dyrektora "piątki" Edward Wiśniewski rozporządzający aukcję collage'y.

Najpierw pod młotek poszła "Martwa Natura" Marty Madzelan, później "Próba Pejzażu" Magdy Żmijewskiej. Przy Magdzie właśnie nasza, mnie refleksja jak różnie patrzy się na ten sam obraz z daleka i blisko. Z dwóch metrów straszący nieco oglądającego klimat, z piętnastu sprawiał całkiem grzeczne, prawie pogodne wrażenie.

●●●

Wreszcie przyszła kolej na "Burzę" Agnieszki Sajnaj. Wystartowaliśmy we dwoje, a że konkurentka była równie zdecydowana, pierwszych dziesięć podniesień ręki wykonaliśmy w najwyżej dwie minuty. Później postanowiłem zagrać na czas, żeby dać konkurentce możliwość zastanowienia się, czy przypadkiem nie pora zrezygnować. Widać jestem kiepskim psychologiem, bo kiedy ruszyliśmy znowu, następnych dziesięć podniesień było kwestią niewiele dłuższej chwili. W tym momencie wylicytowana cena osiągnęła pułap moich planów, a ręce powoli

zaczęły pokrywać się potem. Ale od czegoś atmosfera walki i hazardu. Pokonywała już nie takich miłośników racjonalnego postępowania. Zdaje się, że z konkurentką było podobnie. Mimo, że głowa coraz częściej kręciła na "nie", ręce podporządkowane jakieś silne pokornie podnosiły stawkę. Trzecia dziesiątka podbić ceny musiała jednak rozstrzygnąć walkę. Moje pierwsze podbicie w czwartej dziesiątce było decydujące...

●●●

Największe pieniądze zarobiła praca Anny Łyżwy. Prezes Telewizji Kablowej, Włodzimierz Zieliński wydał na nią sporą kwotę, chociaż inwestycja nie będzie odliczona od podstawy opodatkowania.

Piotr Duma korzystając z pomocy Kazimierza Sidora, Włodzimierza Zielińskiego, Edwarda Wiśniewskiego i Krzysztofa Gałana sprzedał tego popołudnia 18 prac uczniów szkół podstawowych nr 3, 5 i 8 za 3 miliony złotych. Wszystkie pieniądze zostaną przeznaczane na Świdnickie Studio Młodych Plastyków, a konkretnie zakup materiałów, farb i narzędzi. Studio będzie zrzeszało najzdolniejszych plastycznie młodziź ze wszystkich szkół podstawowych Świdnika. Jest szansa, że przy organizacji kolejnych aukcji (aktualnie w holu kina wystawiane są prace dzieci z "jedynki") wiele mieszkań ozdobił niebanalne prace dzieci, a konto Studia zasilą pieniądze pozwalające na jego funkcjonowanie.

Jan Mazur

Cały teren Świdnika, to był przed wojną Adampol, a jeszcze wcześniej Krępiec - rozpoczyna swoją opowieść pan STEFAN KOZIOL. To znaczy dobra krępieckie - poprawia się natychmiast. Bo do tych dóbr należała nie tylko dzisiejsza wieś Krępiec. A obecne podziały, nowe nazwy, to wszystko związane było z parcelacją tych dóbr. Ale te nowe nazwy - Kazimierzówka, Adampol itd. - są stosunkowo świeżej daty. Najdalej z końca XIX wieku. Żeby się pan w tym wszystkim nie pogubił, chyba najlepiej będzie, jeśli zacznie od początku...

BIAŁA PLAMA

Pan Kozioł przyszedł do mnie do redakcji już chyba ze dwa miesiące temu. Jego pasją są dzieje terenu dzisiejszego Świdnika. Urodził się tu (prawie siedemdziesiąt lat temu), tu przeżył całe swoje życie, dużo widział, sporo rozmawiał z ludźmi, wiele pamięta... Do tej wizyty sprowokował go któryś z odcineków publikowanej na naszych łamach "Historii Świdnika i okolic". Nie wszystko, co tam napisaliśmy, było do końca zgodne z jego odczuciem. Przede wszystkim zaś to, że pisząc o historii Świdnika (dzisiejszego), nadmierną uwagę poświęcamy Świdnikowi (a właściwie: Świdnikom - Dużemu, Małemu i Świdniczowski), gdy tymczasem z tamtymi Świdnikami, dzisiejszy - oprócz nazwy - nie ma właściwie nic wspólnego. Żeby pisać o historii Świdnika, to tak naprawdę trzeba najpierw pisać o Adampolu i Krępcu.

Akurat trwało "zamykanie" numeru.



Pan Józef Kozioł w 1913 roku kupił ziemię, na której dziś stoi spora część Świdnika.

Najgorętszy moment pracy redakcyjnej w całym tygodniu. A tym razem dodatkowo (to znaczy - dokładnie tak samo jak zawsze), coś się "waliło". Wszyscy miotali się jak w ukropie. I jak tu w takim momencie znaleźć czas na pogaduszkę? Obiecałem więc naszemu niezwykle gościowi, że na dłuższą rozmowę o tych interesujących sprawach znajdzie czas innego dnia w ciągu tygodnia. No, może dwóch... Nie znalazłem. Ale o swojej obietnicy nie zapomniałem. Okazja do większej publikacji nadarzyła się dopiero z okazji numeru świątecznego. Skruszony zapukałem do drzwi jego domu. Nawet specjalnie się nie gniewał. Zaprośił do środka. Rozpoczął opowieść.

No więc cała ta ziemia należała kiedyś do Grodzickich, a jeszcze wcześniej do Sawickich. Ostatni z Sawickich po śmierci pierwszej żony ożenił się ponownie z kobietą dużo młodszą od siebie. A kiedy umarł, ona z kolei wyszła po raz drugi za mąż, za Grodzickiego. I w ten oto sposób dobra Sawickich stały się dobrami Grodzickich. Chociaż nie na długo, bo to właśnie albo Maria Grodzicka, albo jej mąż, gdzieś tak chyba pod koniec XIX wieku rozpoczęli ich parcelację.

W skład tych parcelowanych dóbr wchodziły i dzisiejszy Franciszków i

Kazimierzówka. No i - oczywiście - Adampol. I sam Krępiec, który po parcelacji częściowo zaczął się nazywać Nowym Krępcem, a częściowo Kolonią Krępiec. Nowy Krępiec, to był teren tak mniej więcej na północny zachód od Krępcu, gdzieś do zakrętu kolei, aż pod Franciszków. Takim trochę "językiem" sięgał aż po "Króla pole". Kolonia Krępiec z kolei była na zachód od Krępcu, mniej więcej wzdłuż takiej linii jak skraj Brzezin, Osiedla Lotniczego, stacja benzynowa... Aż do samego lasu, do Rejkowizny. A od południa, do piaseckiej szosy.

Tam gdzie jest dzisiaj Franciszków, tam był folwark, ale pan Kozioł nie pamięta, jak on się pierwotnie nazywał. Tam gdzie dziś jest Dom Pomocy Społecznej, był zjazd, który chyba nazywał się Kazimierzówka. I tak już zostało. Niedaleko tego zjazdu resztówkę otrzymał Choina, i chyba jako pierwszy zaczął się na niej budować. Dopiero w latach sześćdziesiątych jego stodołę rozwalili. A Franciszków zaczął się tak nazywać dopiero, kiedy do folwarku Komorowskich, około 1910 - 1912 roku zaczęli przybywać osadnicy. Sporo ich przyjechało z nad Wisły, gdzieś spod Opola Lubelskiego, ze wsi o nazwie Franciszków. Miejsce nowego zamieszkania zaczęli tak nazywać na pamiątkę swojej poprzedniej wsi. A cała reszta, tak właśnie od Franciszkowa, wzdłuż torów w stronę Lublina, czyli prawie dokładnie całe dzisiejsze miasto, to był Adampol.

A więc nieprawdą są te wyssane z palca pogłoski, że to któryś z Sawickich miał trzech synów - Franciszka, Kazimierza i Adama, i że to od ich imion przy dzieleniu spadku powstały nazwy dawnych krępieckich dóbr. Adampol, to była nazwa wsi (a właściwie to jeszcze nawet nie wsi, tylko lasu i ziemi) nadana w tym właśnie czasie przez Majewskich. A konkretnie - przez Zygmunta Majewskiego, geometrę, który parcelował majątek Grodzickich.

Widać dobrze się Grodzickim przysłużył, skoro ci jako zapłatę za wszystkie

pomiary i parcelację, dali mu taki kawał ziemi. Zygmunt Majewski te swoje nowe dobra, od imienia swojego ojca - Adama - nazwał Adampolem. I od razu zaczął tą swoją ziemię sprzedawać na parcele.

Pan Kozioł pokazuje mi zachowany akt notarialny z marca 1913 roku, z którego wynika, że Józef Kozioł i Szczepan Goral zakupili od Zygmunta Majewskiego ziemię we wsi Adampol.

- To tutaj wszędzie były pola? - pytam.

Niezupełnie. Wtedy, kiedy Majewski otrzymał tę część dóbr krępieckich, w większości był tu las. Tak jak jest park koło WSK, to ten las ciągnął się aż do dzisiejszej szosy piaseckiej i dalej. Aż do tamtego, który jest za kościołem w Kazimierzówce. Jeszcze do dziś zostały po nim niektóre drzewa - lipa za okrągłym kościołem, dęby... Tam, gdzie dziś, już za



kościółem, jest Raclawicka, była wtedy gajówka. A w stronę Lublina to ten las kończył się tak, jak dziś kończy się Rejkowizna. Za lasem był rosyjski poligon. Do dziś zachowały się tam resztki wału ziemnego, bo odbywało się tam ostre strzelanie. Kiedy byłem mały - wspomina pan Kozioł - to z chłopakami nie raz wydłubywaliśmy pociski z drzew.

Jednak ten las został szybko wycięty przez tych, którzy wykupili od Majewskiego parcele. Częściowo jeszcze przed I wojną, a częściowo w okresie międzywojennym. Ale ja pamiętam, kiedy sięgał on aż tam, gdzie dzisiaj jest szkoła "dwójka", tak wzdłuż dzisiejszej ulicy Kruczkowskiego. I tam, od stacji benzynowej, aż do "okrągłego" kościoła jeszcze był las. Mniej więcej przy dzisiejszej stacji benzynowej, pierwsi kupili parcele Kamola i Gruszczyński z Kolonii Krępiec. Na pewno jeszcze z lasem je kupili. A dalej, przy Raclawickiej, tam gdzie dziś jest pawilon, tam była krępiecka cegielnia. Tu, gdzie szkoła "jedyńska", była kopalnia kamieni na budowę domów.

Dwór był tam, gdzie park nad Zalewem. Ale to nie był zalew, tylko staw. Był nad stawem spichlerz i młyn. Jeszcze przed

wojną ten staw i młyn należały do wuja mojej żony - Kazimierza Opalińskiego. Potem sprzedał je Grzybkom. A sam pałac przetrwał całą wojnę, po wojnie była w nim siedziba gromadzkiej rady, i dopiero jak budowali ośrodek nad zalewem, to ten pałac zniszczyli. Dobrze ten pałac pamiętam, bo przez jakiś czas chodziłem aż do Krępcu do szkoły. Od 1935 roku - pięć kilometrów co dzień w jedną stronę.

Po 1918 roku do Krępcu przyjechała z Krakowa pani Maria Wójcik. To głównie jej staraniem wybudowany został Dom Ludowy i w nim powstała szkoła. Wcześniej była jednoklasowa szkoła w Adampolu (tym dzisiejszym), a sześcioklasowa... różnie. Od wsi, do wsi, od chałupy, do chałupy. Od 1931 roku, kiedy do niej chodziłem, była w Kazimierzówce, ale oficjalnie była to szkoła w Kolonii Krępiec.

A do kościoła chodziło się aż do Melgwi. Bo wcześniej kiedy były to dobra Krępieckie, cały ten teren należał do gminy i do parafii Melgiew. Pan Kozioł zdejmując ściany oprawione w ramki duże zdjęcie. To jest mój wuj, Antoni Gagoł - mówi. Na zdjęciu wójtów z całego Priwisłńskiego Kraju. Delegowano na ten zjazd po jednym wójcie z każdej guberni. Wuj był w Melgwi wójtom przez 24 lata. Jeszcze przed I wojną i już w okresie międzywojennym.

A to - pokazuje mi inne zdjęcie - mój inny wuj, Władysław Goral. Od 1920 roku biskup w kurii lubelskiej. O, tu jest zaproszenie dla mojej mamy, taki bilet wstępu na konsekrację, a tu obrazek - pamiątka z konsekracji. Wuj studiował w Rzymie, w Gregorianum i w Szwajcarii, we Fryburgu. Jeszcze w 1939 roku został przez Niemców aresztowany i osadzony w Oranienburgu. Już stamtąd nie wrócił. Ostatnią wiadomość mieliśmy od niego w czerwcu 1944 roku, potem przyszedł front. Wuj został zamordowany przez Niemców chyba tuż przed samym końcem wojny, w 1945 roku. A tu zdjęcie jego Orderu Odrodzenia Polski - Polonia Restituta. Krzyż Komandorski z gwiazdą...

Ale zacząłem mówić o kościele, że chodzić trzeba było do Melgwi. Potem, w okresie międzywojennym zmieniono podział kościelny i teren Adampola, aż po Kazimierzówkę, został włączony do nowej parafii lubelskiej na Bronowicach. To w ogóle z tego terenu trudno było do kościoła dotrzeć. I wtedy siostry szarytki w Kazimierzówce, które w budynku po karczmie prowadziły przeciwwgrzyliczy szpitalik dla dzieci, urządziły w nim kaplicę. Potem zaczęli przychodzić do niej ludzie z okolicznych wsi i utworzono w tej kaplicy filię parafii Bronowice. Taki był początek późniejszej parafii, z której wyodrębniły się wszystkie trzy dzisiejsze świdnickie.



Zakończenie roku szkolnego 1934/35 w IV klasie szkoły w Kazimierzówce. Pan Stefan Kozioł w drugim rzędzie drugi od prawej.

- A jak to było przed wojną z drogami? Któredy przebiegały przez ten teren jakieś linie komunikacyjne?

- Była kolej - mówi pan Kozioł. - budowana w latach siedemdziesiątych XIX wieku jako przedłużenie Kolei Nadwiślańskiej. Łączyła Lublin z Kowlem, a w ten sposób równocześnie Warszawę z Kijowem. Budynek dzisiejszej "starej stacji" zbudowano dopiero na początku XX wieku, ale sama stacja była tu już wcześniej. No i od nazwy najbliższej miejscowości (bo Adamopola jeszcze wtedy nawet nie było) nazwano tę stację - Świdnik.

Poza tym były tylko zwykłe, polne drogi. Takie wiejskie, gliniaste, że kiedy były roztopy, albo i po większym deszczu, nawet wozem się nie dało po nich przejechać. Od szosy piaseckiej, wyłożonej kolorowym, czerwonym i żółtym klinkierem, od dzisiejszych "krzyżówek", prowadziła tam taka polna droga. Prosto, mniej więcej do dzisiejszego "dołka". I tam, lekkim łukiem skręcała. Ale nie w tą stronę, co dzisiaj, tylko w przeciwną. To znaczy tak jak dzisiejsza ulica Partyzantów, do stacji. (Oczywiście - "starej stacji"). A wtedy, gdzie jest dzisiaj aleja Lotników Polskich, aż do Zakładu, to była tylko ścieżka. Bitą drogę, taką z "kocich łbów", zrobiono tu dopiero po wojnie, kiedy zaczynała się budowa fabryki i miasta.

Druga taka polna droga prowadziła wtedy, gdzie dzisiaj jest ulica Gospodarcza. Też od szosy piaseckiej aż do gościńca krępieckiego. Tam skręcała w prawo i prowadziła do Franciszkowa, mniej więcej wtedy, gdzie jeszcze do dziś między blokami w zakątku przy ulicy Turystycznej i Kosynierów zachowała się murowana figura.

Ale główna droga, to był gościńiec krępiecki. Prastary trakt z Lublina do Zamościa i Lwowa. Wychodził z Lublina przez Kalinę, potem gdzieś tak, jak odcinek szosy melgiewskiej, dalej skręcał w stronę nadleśnictwa, wzdłuż torów, potem znowu skręcał, tak jak jest dzisiaj ulica Struga, początkiem Niepodległości (Sławińskiego), i znowu skręcał, biegł gdzieś za szkołą "dwójką", gdzie ostatni raz skręcał już na wschód. Ale nie dokładnie tak, jak prowadzi dziś Raclawicka i Krępiecka. To się trochę przesunęło na południe. Droga była trochę wyżej i to aż do samego Krępcza. Teraz tam są bloki, a za miastem pola, w Krępczu, tam gdzie dzisiaj jest kapliczka, trakt biegł w stronę Wierchowisk. Już z sześćdziesiąt lat temu go zaorano na pola po parcelacji. Bo dzisiejsza droga z Lublina w stronę Piask została już wtedy zbudowana od strony Bronowic i ten stary

trakt przestał być ludziom potrzebny.

- Czy to prawda, że przed wojną ówczesny Adamopol (czyli dzisiejszy Świdnik) był znaną miejscowością lotnikową? Podobno nawet miał swój mikroklimat - molestując pana Kozioła.

Ano były lasy, powietrze zdrowe. Może też i był jakiś mikroklimat, chociaż mnie



Biskup Władysław Goral (1898 - 1945)

się wydaje, że to był taki pomysł doktora Majewskiego. Sam pomyślał na lotnisko, to jeszcze sprawa geometrii, Zygmunta Majewskiego. Ale potem była to rodzina lekarska. Reumatolog Adam Majewski mógł odkryć tutaj mikroklimat... Adamopol, czyli dziś Świdnik, rodzinie Majewskich zawdzięcza bardzo wiele. Ich grobowiec znajduje się na cmentarzu przy Lipowej. Chyba niewielu świdniczan nawet wie gdzie. A to właściwie Adam Majewski przyciągnął tutaj letników, powstały wille. Synem Adama był też Adam Majewski, chirurg, autor tej słynnej powieści "Wojna, ludzie, medycyna".

Przed wojną tu, do Adamopola (to znaczy na stację Świdnik) przyjeżdżał nawet specjalny pociąg spacerowy. Przyjeżdżał rano i czekał na wycieczkowiczów aż do wieczora, żeby odwieźć ich z powrotem do Lublina. Pamiętam - zawiadowca stacji i dyżurni ruchu w eleganckich, białych mundurach... Wie pan co - śmieje się pan Kozioł. - A potem, jak po wojnie zrobiono przystanek kolejowy, ten gdzie jest dzisiaj stacja Świdnik Miasto, to go dla odmiany przez jakiś czas nazwano Adamopol...

- A te najcenniejsze zabytki Świdnika, wille? - pytam - Kiedy powstały?

No, za mojej pamięci już były. - Na "Jutrzence" chyba jeszcze jest napis - 1915. Drugi taki sam, ale na dachu, miała "Ostoja". Te wille jeszcze są. "Ostoje" budował Przeradzki, potem, przed wojną, należała do Drzałów, a przed samą wojną do Kozłowskich. Właścicielem "Jutrzenki" był Jan Podolczyński (jego żona była z Majewskich), "Bożenna" należała do Papieskich. A "Zakopianka", ta schowana

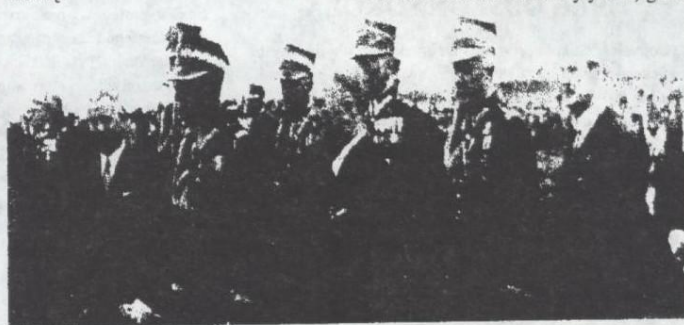
głębiej za domami przy Świerkowej, była własnością Michała Chodorowskiego. "Bajka" nadal jest w rękach dawnych właścicieli - Czarnołukskich. I jest jeszcze "Grażyna" - przedwojenna willa Szczesnińskich. A było ich tu jeszcze kilka - nieduża "Biedronka" Czarneckich, rozebrana niedawno, już w latach siedemdziesiątych. "Rozkosz" Gąsiorowskich,

spalona w 1943 roku przez okupantów w odwet za Niemca zabitego na Kolonii. No i "Hania" Ogińskich, która też spaliła się w czasie wojny, ale to przez przypadek. Zaproszili w niej ogień robotnicy z lotniska. Ogiński, to był dentysta. To właśnie on rwał mi pierwszego bólowego zęba... - zadumał się na chwilę pan Kozioł.

Przed wojną te główne drogi Adamopola nosiły swoje nazwy. Dzisiejsza ulica Partyzantów, to była Aleja Kościuszki, dzisiejsza Traugutta nazywała się Jagiellońska, a Kruczkowskiego, to była Aleja Bartosza Głowackiego. A skoro pan pyta o

świdnickie zabytki - dodaje po chwili - oprócz wili jest jeszcze do dziś kilka innych domów sprzed wojny. Niedaleko starej stacji. Po Pastuszkach, po doktorze Adamie Majewskim, po Sawickich. Jednak najbardziej wartościowy zabytek, to był pałacyk Grodzickich. Najpierw był kryty strzechą, potem blachą. Wyszadzi go w powietrze Niemcy w lipcu 1944 roku, tuż przed nadejściem frontu.

- Ale Świdnik przed wojną, to nie tylko lotnisko. To przecież również i lotnisko - mówię.



Odsłonięcie Szkoły Pilotów z udziałem marszałka Rydza-Śmigłego

Letnisko, to nie Świdnik. To Adamopol. A lotnisko, to rzeczywiście Świdnik - tłumaczy cierpliwie pan Kozioł. - Bo już po drugiej stronie torów. Zorano pola, aż do samego dworu Świdnik przed szosą melgiewską. Gdzieś tak w 1936 roku. A oficjalne otwarcie i poświęcenie było w 1938.

- Czy to prawda, że o wyborze tego terenu na lotnisko również decydowały względy klimatyczne? Bo w wyniku badań meteorologicznych stwierdzono, że w tej okolicy jest stosunkowo najmniejsza ilość opadów? - pytam o zasłyszana gdzieś, kiedyś, opowieść.

Że co? Że tam niby deszcz mniej pada? - śmieje się, szczerze rozbawiony pan Kozioł. - Nie, o tym, to ja nigdy nie słyszałem...

- A samoloty? Jakże były?

Ano, szkolne. RWD. Pobudowano tuż

przed wojną hangary. I budynek szkoły pilotów. Poświęcenie było w 1939 roku. Msza polowa na lotnisku, orkiestra grała. Cała świta generałów przyjechała i sam Marszałek Śmigły-Rydz. W paradnych mundurach, z szablami. Kiedy ten orszak po Mszy wracał w stronę dzisiejszego biurowca, bo gdzieś tam była szkoła, to z bliska wszystko widziałem. Stałem tam, może ze dwadzieścia metrów od nich...

A samoloty, to były małe górnołaty. Instruktorami byli Krawczyki i Olejniczak. Przyjechali do Świdnika chyba z Kalisza. Potem, w czasie wojny, latali w Anglii. Ich żony mieszały jeszcze długi czas w "Grażynie", chyba do 1950 roku. Potem się wyprowadziły, a oni jeszcze do tamtej pory nie wrócili...

A pierwsze niemieckie bombardowanie lotniska było już 2 września. Potem, w czasie wojny, Niemcy jeszcze rozbudowali to lotnisko, kładli betonowe pas startowy. To było lotnisko bombowe. Dla dwusilnikowych "Dornierów" i "Heinkli". Ale i myśliwce też tu stacjonowały. W lesie Rejkowizna zbudowali magazyn bomb, od stacji dwutorowa boczna tam prowadziła. A drugi magazyn bomb i betonowa droga dojazdowa były po drugiej stronie lotniska za szosą melgiewską.

Wszystko to wysadzili w powietrze w 1944 roku, zanim się wycofali. Potem, do 1946 roku, gdzieś tak do maja, czy do czerwca, to było wojskowe lotnisko ruskich. Też bombowce stąd startowały i "istrebitele" (myśliwce). Na sztab zajęli nadleśnictwo. Jak się wynieśli, to przez pewien czas nie się tu nie działo. Jeszcze jesienią 1948 roku kiedy jechaliśmy tamtędy z kuzynem rowerami, oglądaliśmy całe te ruiny i rozmawialiśmy, że chyba długo się to nie podniesie. A tymczasem już w 1949 roku coś tam się zaczęło dziać...

W 1951 roku były dwa baraki, mniej więcej tam, gdzie dzisiaj jest basen, w parku. Dopiero w 1952 Świdnik "przekroczył" na drugą, tą dzisiejszą stronę torów. Pierwsze baraki były tam, gdzie



Willi „Bożenna”

16 listopada 1979 roku. Godzina 12 w południe. Od płyty lotniska zakładowego WSK odrywa się śmigłowiec, którego kształtów świdnickie niebo jeszcze nie zna. Do pierwszego lotu startuje Sokół. Po wystartowaniu maszyna nagle "przepada", traci, to znów odzyskuje wysokość jakby nie mogąc zdecydować się, czy wlecieć w powietrze, czy opaść z powrotem na ziemię. Zgromadzeni na lotnisku twórcy śmigłowca widząc te manewry uspokajają się przekonaniem, że szczególnie silny tego dnia wiatr miało Sokolem. Po szczęśliwym lądowaniu okazuje się, że powód powietrznych fanaberii maszyny był zupełnie inny. Oto zawory upustowe silników wyregulowane do prób stoiskowych otwierały się i zamykały zmieniając moc jednostek napędowych. Pilot Wiesław Mercik, który jako pierwszy posłał Sokola w powietrze zdał tego dnia podwójny egzamin...

Rok Sokola

OKRES PISKŁĘCY

Sokół dostał się Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego niejako z przydziału. W ramach tak zwanej specjalizacji produkcji obowiązującej w RWPG Polska została wytypowana na producenta lekkich i średnich śmigłowców. Do budowanych w Świdniku "Midwojów" miał więc dołączyć śmigłowiec, który zastąpiłby Mi-4 i odpowiadał wielkością popularnym wówczas na Zachodzie maszynom Aerospatiale - Dauphin 2 oraz S-76 produkowanemu przez Sikorsky'ego.

Prace nad projektem ruszyły w 1971 roku, a zespołem inżynierów kierował Zbyszek Kodubaj, którego zastąpił później Stanisław Kamiński. Jego dziełem jest doprowadzenie Sokola do dzisiejszej postaci.

W maju 1975 roku przystąpiono do budowy makiety, którą ukończono już w październiku. Ponieważ - jak powiedział ówczesny dyrektor zakładu Jan Czogała - wcześniej produkowane śmigłowce: SM-1, SM-2, Mi-2, a nawet Kania były zbyt skromnym doświadczeniem, by zbudować od podstaw własną maszynę, świdnicy konstruktorzy jeździli po pomoc do Moskiewskich Zakładów Śmigłowcowych i biura konstrukcyjnego Milla - kierowanego przez Marata Tiszczenkę.

Nie oznaczało to, że Sokół był w tej fazie konstruowania śmigłowcem polsko-rosyjskim. Sposób montażu silników na przekładni głównej - jako oryginalne rozwiązanie polskich konstruktorów został przez nich opatentowany. Już wtedy zdawano sobie sprawę, że ogrom przedsięwzięcia (jak na siły niedoświadczonych Wytwórni) każe myśleć o rozwiązaniach, które przetrwają do 2000 roku i zostawieniu następcom możliwości dokonywania zmian odmładzających maszynę. Na pierwszego seryjnego Sokola trzeba było poczekać 15 lat, do 1986 roku.

PIĘĆ ODSŁON SOKOŁA

Dojrzałość Sokola przypadła na kryzysowy dla przemysłu lotniczego przełom lat 80 i 90. Bezkrwawa rewolucja w Europie Środkowo-Wschodniej, zerwanie blisko pięćdziesiąt lat trwających ekonomicznych współzależności, kompletny brak doświadczenia we współpracy i handlu z Zachodem postawiły WSK w podwójnie dramatycznej sytuacji. W tym czasie Sokół był chyba najbardziej uniwersalnym śmigłowcem na świecie. Wymogi potencjalnego odbiorcy, Związku Radzieckiego były tyleż prosto sformułowane, co trudne do zrealizowania. Maszyna musiała po prostu mieć zdolność operowania od Alpa Aty po koło podbiegunowe. Musiała jednakowo znosić 40 stopniowe mrozy i także upały. Dla użytkowników jasne było, że powinna sobie radzić w wilgotnym klimacie nadmorskim i na pustyni, czy wysoko w górach. Sokół przeszedł wszystkie te próby i... wciąż nie posiadał żadnego potwierdzenia typu, czyli certyfikatu. Nawet polskiego.

Koniec lat 80, to również postępy w uwersyjnieniu Sokola,

czyli przystosowaniu go do wypełniania różnych zadań cywilnych i wojskowych.

HUZAR - KONKURENT APACZA

Historia śmigłowca wojskowego zaczyna się w 1944 roku, kiedy niemiecki konstruktor Flettner zbudował maszynę Focke-Anchelis Fa 223. Ale tak naprawdę helikopter bojowy zaistniał dopiero ponad 20 lat później, w czasie wojny w Wietnamie. Przeszedł tam znamienne ewolucję od środka transportu piechoty, rannych i zaopatrzenia wojsk, po eskadry kawalerii powietrznej walczącej wtedy jeszcze głównie pokładowymi karabinami maszynowymi. Legendą wojny wietnamskiej jest Bell UH-1 Huey - niezbędny element wszystkich filmów opowiadających o tych czasach. Pierwszą propozycją uzbrojonej wersji Sokola był Aligator-Salamandra. Rozpoczęto budowę dwóch prototypów tego śmigłowca. Jeden z nich doprowadzono do etapu prób poligonowych, które zakończyły się sukcesem. Niestety, wojsko Salamandry nie kupiło. Oficjalnie mówiło się o niedostępności zastosowanego w niej radzieckiego systemu uzbrojenia. Wojskowi nie mieli jednak wówczas jeszcze chyba zaufania do Sokola - śmigłowca mało znanego i - jak już wspomniałem - nie posiadającego żadnego certyfikatu.

Salamandra była latającym systemem przeciwpancernym wyposażonym w sterowane radiowo rakietowe pociski przeciwpancerne i szybkostrzelne działko 23 mm. Słabością zastosowanego rozwiązania (w porównaniu z zachodnimi) była jego część elektroniczna, atutem ponaddzźwiękowe, precyzyjnie kierowane pociski przeciwpancerne.

Rozpoczęcie programu budowy śmigłowca typowo bojowego nie jest kwestią decyzji podjętej przez kierownictwo zakładu, nawet tak dużego jak WSK. Koszty przedsięwzięcia są tak ogromne, że decyzje muszą być podejmowane na szczeblu rządowym. Dotyczy to nie tylko Polski, ale również bogatych państw zachodnich, nawet Stanów Zjednoczonych. Budżet naszego państwa nie wytrzymałby takiego obciążenia, ale również w tym nie jesteśmy odosobnieni. Wciąż niepewne są losy wspólnego niemiecko-francuskiego śmigłowca bojowego Tiger, Amerykanie borykają się z problemami w realizacji programu RAH-66 Comanche.

Coraz ostrzejsze wymagania techniczne stawiane przed śmigłowcem pola walki trzeba było pogodzić ze skromnymi możliwościami finansowymi. Postanowiono pójść na wariant dobrojenia istniejącej już transportowej wersji Sokola. W ten sposób powstał Huzar. Tym razem konstruktorzy z WSK złączyli się z francuską firmą Denel, która uzbrajała śmigłowce bojowy Rooivalk produkowany (na razie w śladowych ilościach) w tym kraju.

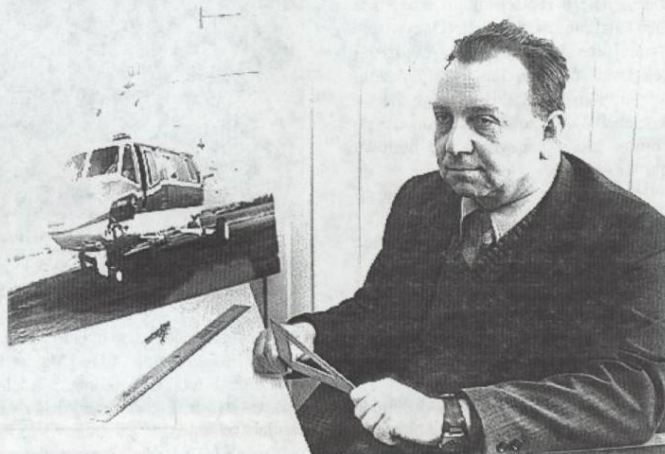
Denel zaproponował system uzbrojenia oparty na pociskach przeciwpancernych kierowanych promieniem lasera. Jest to postęp w stosunku do poprzedniego rozwiązania, gdyż wiązka lasera

nie jest wrażliwa na zakłócenia zewnętrzne. Dolożono do tego kamerę termowizyjną i aparaturę pozwalającą na obserwację terenu, wycelowanie pocisku oraz prowadzenie go na duże odległości w dzień i w nocy. Nawet doskonale maszyny pozbawione tego wyposażenia przegrywają konkurencję ze słabszymi, ale mogącymi operować nocą.

Uzupełnieniem przeciwpancernych pocisków kierowanych są pociski niekierowane i 20 mm działko sterowane z kasku pilota. Pierwszy egzemplarz Huzara został już zaprezentowany wojsku.

Porównanie Huzara z innymi śmigłowcami pola walki wcale nie wypada dla niego najgorzej. W przypadku śmigłowca wojskowego mniej istotne stają się jego dane techniczne, decydującym jest bowiem poziom uzbrojenia. Pod tym względem Huzar nie ustępuje zbyt wielu konstrukcjom. Właściwie tylko Amerykanie i - w mniejszym stopniu - Francuzi dysponują śmigłowcami z zamontowanymi systemami nocnymi. Gdyby polską armię było stać na zakup Huzara znalazłaby się w czołówce światowej jeśli chodzi o jakość posiadanego sprzętu śmigłowcowego. Naturalnie Huzar nie ma szans współzawodniczyć z Apache. Decyduje o tym przede wszystkim fakt, że nie ma możliwości zakupu zastosowanej w AH-64A najnowocześniejszej elektroniki (zarówno ze względów finansowych, jak i ochrony przez Amerykanów systemów najnowszych generacji), ale też budowa kadłuba i osiagi.

W planach konstrukcyjnych Wytwórni uwzględniano budowę



Inż. Stanisław Kamiński

(fot. W. Warczyński)

rozwojowej wersji typowo bojowego Huzara o zmienionej już budowie kadłuba z kabiną pilotów w układzie tandem. Zważywszy na koszty, realizacja tej koncepcji wydaje się zarówno obecnie, jak i w dającej się przewidzieć przyszłości niemożliwa.

ANAKONDA - PŁYWAJĄCE PTASZYSKO

Paradoksalnie właśnie Anakonda przekonała wojsko o prawdziwej wartości Sokola w zastosowaniach militarnych. Anakonda, czyli Sokół w wersji poszukiwawczo-ratowniczej (SAR). Helikopter nie jest wprawdzie przeznaczony do wypełniania zadań bojowych, jednak uczestnicząc w akcjach ratownictwa morskiego dowiódł swojej niezawodności w trudnych warunkach sztormowej pogody. W czasie Dni Morza w lipcu 1991 zastępca dowódcy Lotnictwa Marynarki Wojennej komandor Zygmunt Smolarek opowiadał trochę anegdotycznie: Sokół podbił naszych pilotów i mechaników. Jeden z nich, który chciał koniecznie przejść z Mi-2 na Sokola tak się zdenerwował podczas egzaminów, że nie mógł wymówić słowa. Po dwóch godzinach zdał ten egzamin celując. Tak bardzo chciał pracować przy Sokole, że strach go sparaliżował. Dusza lotnika zawsze ciągnie do tego, co jest ładne i ładnie lata, a taki jest właśnie Sokół.

Anakonda dysponuje wszelkim potrzebnym sprzętem do uczestnictwa w ratowniczych akcjach morskich w polskiej strefie Bałtyku, spełniając nawet bardzo rygorystyczne amerykańskie i brytyjskie wymagania w tej mierze. Jest więc wyposażona w urządzenia radionawigacyjne namierzające miejsce wypadku z dokładnością 1 kilometra (zupełnie wystarczającą do wypatrzenia rozbitek na powierzchni wody), dwuosobową wciągarkę do podejmowania ratowanych na pokład śmigłowca, cztery tratwy ratownicze, zestaw do udzielania pierwszej pomocy medycznej.

Sokół zwykle potrafi więcej, niż od niego wymagają. Dotyczy to również Anakondy. System specjalnych nadmuchiwanym pływaków ma według przepisów zapewnić maszynie utrzymanie się przez 30 minut na powierzchni morza w razie konieczności awaryjnego lądowania. Anakonda nie tylko ląduje na morzu, ale



Salamandra

również potrafi wystartować z powierzchni wody!

Podczas pamiętnej akcji ratunkowej po katastrofie promu Heweliusz, Anakondy nie dopuszczono na miejsce wypadku, mimo, a może właśnie dlatego, że lepiej wykonałaby swoje zadanie niż śmigłowce Mi-14. Trzeba widzieć jak wgniatają one pod wodę siłą powietrza rozgarnianego łopatom wirnika rozbitków wraz z tratwą przy zawisie na kilkunastu metrach nad powierzchnią morza. Sokół, o wiele mniejszy od Mi-14, nie rozpętuje pod sobą huraganowych wiatrów. W dodatku niemieccy ratownicy, którzy prowadzili akcję, nie mają w zwyczaju schodzić po rozbitków ze śmigłowca na tratwę. Rzucają im linę (nawet nie kosz, ani platformę). Przy bliskiej zeru temperaturze wody morza zimą i oziębieniu organizmów rozbitków daje to taki efekt, jak gdyby rzucać tonącemu brytwę.

WERSJA "R"

Można by ją nazwać ratunkową karetką tulaćką. Powstała w pięć miesięcy 1988 roku na zamówienie Urzędu Postępu Technicznego i Wdrożeń jako efekt prac konstrukcyjnych zespołu pod kierownictwem inżyniera Andrzeja Bryzka. Jest niewątpliwie najbardziej nowoczesną karetką pogotowia, jaką dysponuje polska służba zdrowia.

Mówi inż. A. Bryzek: Medyczny, a właściwie reanimacyjny Sokół ma służyć udzielaniu pomocy ludziom ciężko chorym na serce. Jest to śmigłowiec sanitarny, któremu wyznaczono zupełnie nową rolę. Użytkowane dotychczas miały jedynie za zadanie jak najszybsze przetransportowanie chorego do szpitala. Szczupłość miejsca i skromne wyposażenie nie pozwalały na udzielenie pomocy w trakcie transportu. Nasz śmigłowiec uzbrojony jest w bogate instrumentarium medyczne umożliwiające natychmiastowe rozpoczęcie intensywnej opieki tuż po dotarciu do chorego.

Medyczne wyposażenie Sokola kosztowało kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Składały się na nie między innymi infusomat (automatyczna kroplówka dokonująca infuzji z dużą dokładnością dozowania), respirator (instrument do wymuszania oddechu w razie ustania naturalnego oddychania), kardiomonitor (kontrolujący pracę serca i mierzący puls chorego), pompa Omega (do pomiaru ciśnienia krwi), defibrylator (do elektrycznego pobudzania i stymulacji pracy serca), urządzenie reanimacyjne HLR (masaż serca i sztuczne oddychanie) oraz walizka Ambu do udzielania pierwszej pomocy poza śmigłowcem.

Ważnym elementem wyposażenia są specjalne nosze zamontowane na wózku poruszającym się wewnątrz kadłuba po łukowatych szynach. Umożliwia to wysunięcie noszy poza kadłub i swobodne umieszczenie pacjenta w śmigłowcu. Właśnie komfort stworzony choremu i ekipie medycznej stawia reanimacyjny Sokola na równi z potentatami w tej dziedzinie transportu powietrznego, śmigłowcami BO-105 i BK-117 francusko-niemieckiej spółki Eurocopter.

"Erka" miała być eksploatowana w Wojewódzkim Ośrodku



Anakonda z nadmuchanymi pływakami.

Kardiologicznym w Zabrze, czyli w klinice profesora Religi. Liczne przeszkody natury technicznej (między innymi brak lądowiska położonego w odpowiedniej bliskości szpitala) i finansowej, nie pozwoliły na zrealizowanie tych planów. Dopiero niedawno "Erka" znalazła właściciela w postaci Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego w Lublinie. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło...

POLICJANT I STRAŻAK

Sokół, to po niemiecku Falke. Na początku 1993 roku zainteresowała się Sokolami policja Berlina. Przybyli do Świdnika w lutym jej przedstawiciele Andreas Eberlein potwierdził przydatność maszyny specjalnie do przeprowadzania operacji antyterrorystycznych: dysponujący przestronną kabiną i dużym zapasem mocy, Sokół jest idealny do tych zadań.

Berlińczykom nie przeszła ochota na Sokola, ale ubiegła ich policja Drezna, która w połowie grudnia tego roku kupiła pierwszą maszynę. Sprzedaż śmigłowca na rynku opanowanym przez Eurocoptera jest wydarzeniem o randze historycznej. Dziś słychać, że w kolejce ustawia się również Rostock.

Doskonale natomiast znają już Sokola Hiszpanie, którzy od 1990 korzystają z niego w charakterze wozu strażackiego.

Letnie akcje ochrony hiszpańskich lasów przed pożarami wyrobiły mu markę tak doskonałą, że rosnące zamówienia na usługi trzeba realizować Sokolami dzierżawionymi od Rosjan. Znowu niezastąpioną cechą świdnickiego śmigłowca jest nadmiar mocy silników, który pozwala mu operować w terenie górskim przy obciążeniu zbiornikiem do przenoszenia wody Bambi o pojemności 1500 l i zachowaniu pełnej manewrowości.

Skończyliśmy pisać o górskich lotach Sokola warto wspomnieć, że

świdnicki śmigłowiec ratuje zdrowie, a czasem i życie turystom i narciarzom pracując od 24 października 1992 roku w służbie Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

ROK SOKOŁA

Zaczęło się jeszcze w grudniu 1992 roku, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Rosjanie, którzy przez wiele lat zwlekali z przyznaniem Sokolowi certyfikatu (wymyślając coraz to nowe zadania i próby) nagle przywieźli dokumenty nadające świadectwo typu.

Prawdziwego uznania doczekał się Sokół dopiero w wieku 22 lat. Najpierw była uroczystość przyznania mu amerykańskiego

certyfikatu w oparciu o przepisy Federalnych Władz Lotniczych FAA 29. Wręczający 31 maja 1993 r. dyrektorowi WSK Mieczysławowi Majewskiemu dokumenty certyfikacyjne przedstawiciel FAA Wayne Barbini powiedział: Sokół jest śmigłowcem wyjątkowym. Przeszedł polską, rosyjską i amerykańską procedurę certyfikacyjną. Nigdy nie widziałem, żeby inżynierowie i technicy włączyli w proces certyfikacji pracowali tak ciężko i z takim zaangażowaniem.

Dyrektor Majewski również nie ukrywał satysfakcji z sukcesu poprzedzonego prawie czterema latami starań popartych kilkudziesięcioma zmianami konstrukcyjnymi dokonanymi na życzenie strony amerykańskiej. Amerykański certyfikat dla Sokola oznacza uznanie wartości naszego przemysłu lotniczego w świecie. Stany Zjednoczone, gdzie lotnictwo stoi na najwyższym poziomie, są niekwestionowanym autorytetem w tej dziedzinie. Sokół jest jedynym śmigłowcem produkowanym w Europie środkowej i wschodniej, który otrzymał w USA certyfikat.



11 listopada na specjalnym koncercie w Teatrze Wielkim w Warszawie wręczono 15 tytułów "Teraz Polska" najlepszym produktom polskiego przemysłu. Jako pierwszy z nagrodzonych wyczytany został śmigłowiec PZL Sokół.



6 grudnia z podróży do Niemiec wróciła delegacja Wytówni z dyrektorami M. Majewskim i R. Cukiernikiem. Delegacja przywoziła ze sobą dokumenty wydane przez Flugfahrt Bundesamt, czyli władze niemieckiego nadzoru lotniczego, stwierdzające, że Sokół został dopuszczony do operowania na terenie Republiki Federalnej Niemiec.



Początek lipca, lotnisko w Poznaniu. Wracający z wystawy w Paryżu Sokół siada na krótki odpoczynek. Traf chciał, że obok stoi prezydencki Bell 412. Ciekawscy dziennikarze obserwują, jak obie maszyny szykują się do startu. Bell uruchamia silnik jako pierwszy, ale w powietrzu pierwszy jest Sokół.

Jan Mazur

PRZED NIMI ŻYCIE

W świetlicy Koła Dzieci Specjalnej Troski na ścianie wśród wielu rysunków i prac wykonanych przez dzieci z Koła, nie sposób nie zauważyć hasła: „Każdy ma prawo do szczęścia”. Wita ono każdego i skłania do głębokiej refleksji.

Koło liczy 45 osób w tym 16 osób przykutych do wózków inwalidzkich. Wiek osób w Kole - od 2 do 36 lat. Tutaj trafia się na zawsze, jeszcze przed szkołą specjalną, do której dzieci chodzą od 7 do 21 roku życia i również po jej skończeniu. Dla wszystkich w zależności od stopnia upośledzenia i wieku prowadzone są zajęcia z logopedą, psychologiem, usprawniające zajęcia warsztatowe, rehabilitacja. Wspólne są zabawy, spotkania towarzyskie a nawet te rodzinne. Wszyscy wspominają bardzo udane 18-te urodziny Sławka. Dzieci mają zorganizowaną pomoc lekarską. Koło odwiedza neurolog dr Kalenik. Dzieci zyskały nowego przyjaciela. Ortopeda Andrzej Tłuczkiwicz rozpoczął opiekę nad dziećmi z Koła. To olbrzymie ułatwienie dla rodziców szczególnie w sytuacji Świdnika, gdzie dostęp do ortopedy jest utrudniony.

Koło prowadzi szeroką działalność, ciągle się rozrasta, bo dzieci ze wszelkiego typu upośledzeniami ciągle przybywa. Baza lokalowa, która jeszcze niedawno była szczytem marzeń, dzisiaj jest już niewystarczająca. Dlatego też rodzice z Koła Dzieci Specjalnej Troski zorganizowali spotkanie z Zarządkiem Miasta i radnymi. Chcieli jeszcze raz przedstawić swoje problemy, zwrócili się z prośbą o pomoc.

Znaleźli zrozumienie i zapewnienie pomocy. Na razie realne jest przeniesienie Koła do części wolnych pomieszczeń Żłobka miejskiego.

Trochę to mało, twierdzą w Kole, ale jak nie ma innego rozwiązania to niech i tak będzie, godzą się trochę niepewnie.

Są zmęczeni tą wieloletnią walką o prawa swoich dzieci. I tak teraz jest już lepiej - mówią, wspominając po oficjalnym spotkaniu, początki działalności.

Koło powstało w 1987 roku, liczyło czternaścioro dzieci. Spotykali się raz w tygodniu w świetlicy Spółdzielni Mieszkaniowej. Prowadzenie spec-

jalistycznych zajęć nie wchodziło w rachubę, nie było warunków. Cieszyli się, gdy udało im się wywalczyć samodzielne pomieszczenie przy ul. Kościuski. Podkreślają duże zaangażowanie prezesa spółdzielni Zygmunta Barszcza, który jako jeden z nielicznych chciał im po prostu pomóc. To ważne, wówczas jeszcze nikt nie chciał rozumieć ich potrzeb. Uważano, że załatwienie autobusu do Lublina, który wywoził dzieci do szkoły specjalnej, generalnie problem rozwiązuje.

Zorganizowani już rodzice nie dawali jednak za wygraną, po zadowoleniu się przy Kościuski, prowadzili dalszą batalię o pomieszczenie z prawdziwego zdarzenia. Małe M-3 w bloku nie wystarczało dla ciągle rozwijającego się Koła. Walczyli nie tylko o świetlicę, ale również o utworzenie w Świdniku Szkoły Specjalnej. Wychodzili tę szkołę. Dzisiaj dzieci ze Świdnika nie muszą jeździć do Lublina, uczą się na miejscu. Dodatkowo szkoła służy dzieciom z okolicznych miejscowości. Chciałoby się powiedzieć, że jest to już prawie szkoła powiatowa.

Na pewno załatwienie tych wszystkich spraw mogło być możliwe przy zaangażowaniu władz miasta i ich rozumieniu problemu.

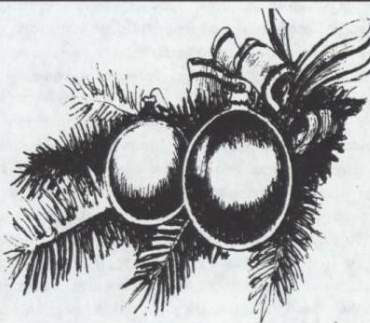
Wcale to nie takie oczywiste jak się może wydawać, trzeba pamiętać, że walka rodziców o uznanie prawa ich dzieci do normalnego życia w Polsce trwała 28 lat. W 1963 roku grupa rodziców wychowujących dzieci głębiej upośledzone umysłowo publicznie zaproteutowała przeciwko odmawianiu im dzieciom prawa do nauki. Dopiero w 1991 roku uzyskali rejestrację jako Polskie Stowarzyszenie na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym.

Przewodniczącą Koła, pani Mirka, nie chce by wymieniała jej nazwisko. My tu - mówi wszyscy pracujemy po równo. Jak ja się załamuję trudnościami, to wówczas inni podtrzymują mnie na duchu. Jesteśmy dla siebie grupą wsparcia. Walczymy o nasze dzieci, ale również i o te, które kiedyś do nas przyjdą.

Tak naprawdę nie poddają się łatwo, wiedzą, że przeszkody trzeba przełamywać. Najbardziej boli

Maria Szczęsna

wiatr rozdaje pocałunki
świerkom
w białych mundurkach
powtórnie narodziny
rozpały serca
u żłobka
w przedśionku kościoła
kamienny chłód topnieje
życzliwi przechodnie
w przypływie dobrej woli
noszą jasełka
nie w samym chlebie
wymiar sytości
od dzisiaj na kopczykach radości
kołędą, kołędą



maluję pejzaż
gałązką jodły
w świątłach Wigilii
dom mój
ołtarz rodziny
na oścież otwarty
i chleb podany na dostatek
na pokrzepienie serc
koncert wiatru brzmi leśną
kołędą
wzruszeniem drży biały opłatek
jeszcze tylko nadzieję
dzielić lotem iskier

WIGILIA DAWNIEJ I DZIŚ

Wigilia rozpoczyna święta Bożego Narodzenia - święta rodzinne, pełne pięknych tradycji i podniosłego nastroju. Wieczór wigilijny jest najcieplejszym i najbardziej wstrząsającym wieczorem roku. Płonące świece, siano pod obrusem, choinka... Wszystko to jest nam tak dobrze znane i bliskie. Wydaje się nam, że tak musiało być zawsze. A tymczasem obecna tradycja wigilijna tworzyła się przez setki lat i wyrastała z najprzeróżniejszych, wcale niekoniecznie chrześcijańskich korzeni.

Podobnie jak z innymi świętami, powiązanymi ze zjawiskami astralnymi (przesilenie zimowe), z nocą wigilijną związane są liczne wierzenia. Jest to noc, w czasie której blakają się duchy a w tradycji ludowej noc ta jest okresem czarów, dziwów, niesamowitych zjawisk i nadprzyrodzonych mocy, rządzonych przez tajemniczy i nieodgadniony świat zmarłych. To wieczór, w którym nie ma rzeczy niemożliwych. Według starych wierzeń w wieczór ten otwiera się wnętrze ziemi i jasnym płomieniem świecy ukryte w nim skarby. Woda w źródłach, potokach i rzekach zamienia się na chwilę w wino i miód, a nawet w płynne złoto. Ptaki rozmawiają wtedy ludzkim głosem, mówi także bydło domowe: woły, krowy i konie. Pszczoły w ulach budzą się z zimowego snu. Dzwony zatopione na dnie zamarych jezior gucho skarzają się i jęczą. Nawet martwe kamienie ożywają i obracają się wokół własnej osi. Również ogień w dniu wigilijnym, to bardzo stara tradycja. Palono światła, a w wielu okolicach przez całą noc podtrzymywano ogień w piecu, aby zziębnięte dusze zmarłych mogły się przy nim ogrzać.

Do tradycji wigilijnych należy, aby do wieczery zasiadała parzysta liczba osób, ponieważ nieparzysta liczba uczujących wróżyć miała rychłą śmierć jednego z biesiadników. Najbardziej obawiano się liczby 13, uważanej za złowieszczą z uwagi na wieczerną w Ogrójcu, gdzie Chrystus siadł do stołu z 12 apostołami. Przy stole siadano zwykle według wieku, aby - jak mawiano - "tymże umierać porządkiem".

Do wieczery wigilijnej zasiadano, gdy pierwsza gwiazdka ukazywała się na niebie. Po przełamaniu się opłatkiem i złożeniu wzajemnych życzeń cała rodzina zasiadała do wigilijnego stołu. Wieczerną rozpoczynała się zawsze wspólną modlitwą i do końca miała charakter uroczysty i poważny. Nikomu oprócz gospodni nie wolno było wstawać od stołu, ani nawet rozmawiać.

Jeszcze w XIX w. na wsi wieczerną spożywano z jednej pięknie ozdobionej glinianej miski, którą stawiano na opłatku. Jeżeli opłatek przykleił się do miski, wróżyło to dobry urodzaj tego, z czego zrobiona była potrawa. Natomiast ilość obrzędowych potraw, miała zapewnić urodzaj w przyszłym roku. Potrawy

na wieczerną wigilijną powinny składać się z wszystkich płodów pola, sadu, ogrodu, lasu i wody. Gdyby które opuszczono, nie obrodziłyby w przyszłym roku.

Zresztą każde zdarzenie w tym dniu stanowiło podstawę do wróżb i przepowiedni przyszłości. Niechętnie pożyczano coś z domu, "bo kto w wigilię coś z domu swego wyda, ten niczego się nie dorobi". Należało uważać, aby tego dnia pierwszy do domu wszedł mężczyzna, a nie kobieta. Przyjście mężczyzny wróżyło na cały rok zdrowie, kobieta zaś przynosiła choroby. Rano myto się w zimnej wodzie, do której wkładano kilka monet (srebrnych, a nawet złotych). Myjąc się dotykano ręką monet, żeby być silnym jak kruszec, z którego były zrobione i żeby się "pieniądze człowieka trzymały". Wymiatając przed wieczerną izbę czyniono to "od drzwi", aby nie odganiać kawalerów.

Po wieczery zlewano wszystkie resztki jedzenia do większej miski. Gospodarz łamał opłatek i chleb na tyle kawałków, ile miał koni i bydła. Wkładano je do miski, a potem gospodarz szedł do stajni i "dawał jeść" zwierzętom. Najpierw koniom - dziękując za ciężką pracę, potem cielętom - "żeby się dobrze darzyły", a potem krowom aby mleko dawały.

Inną grupą wierzeń wigilijnych mających początki w prastarych, jeszcze "pogańskich" zwyczajach pasterskich i rolniczych jest kult drzewa. Świerk, jodła i sosna zawierają w sobie życiodajne moce i mają niezwykle właściwości.

Narodowe dzieje sprawiły, że wigilia wpisała się w polską tradycję jako moment prawdziwego zbliżenia i wzajemnego odpuszczenia win. Sprawili, że stała się też wieczorem zadumy i refleksji. Ileż w naszej historii było wieczorów wigilijnych bolesnych, pełnych trwogi. Ale zawsze w tym dniu ludzie garmili się do siebie i z pierwszą gwiazdą siadali do kolacji. I zawsze musiały być choinka, zawsze musiał być opłatek, zawsze śpiewano kołędy. Były czasy, kiedy chleb przydzielano na kartki, kiedy okupant ściśle wyciszał kartkową rację oleju, a za wszystko groziła kara śmierci. Ale tego wieczoru w każdym polskim domu zawsze pachniało barszczem i grzybami, a na stole pojawiały się wigilijne przysmaki. Nawet jeśli był piernik z marchwi, to jednak był to piernik.

Dzisiaj, mimo trudnej sytuacji materialnej wielu rodzin, podniosły charakter tego wieczoru z całą pewnością zostanie zachowany. Mam nadzieję, że zasiadą przy wspólnym stole bez urazy w sercu, zostawiając jedno wolne nakrycie dla zbłąkanego gościa. Mam także nadzieję, że całe tegoroczne święta miną wszystkim w spokojnym i pogodnym nastroju. Tego życzymy z całego serca miłym Czytelnikom "Głosu Świdnika".

Gośka i Monika





Otwórzcie drzwi i serca dla Nowonarodzonego Dzieciątka Jezus!

Hej, kolęda, kolęda!

*Podnieś rękę Boże Dzieciule!
Błogosław Ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym
bycie,*

*Wspieraj jej siłę swą siłą.
Dom nasz i majątność całą
I wszystkie wioski z miastami
A słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

Oto fragment przepięknej kolędy. Wszyscy zapewne lubimy kolędy. Chętnie ich słuchamy w telewizji i w radiu. Ale też i sami śpiewamy raznie w czasie Wigilii przy choince.

Przed laty istniała tradycja jasełek czytzw. "Herodów" i śpiewania kolęd przez grupy dzieci i młodzieży, wrzuciących przez wsie i miasta w wielobarwnych przebraniach z dzwoneczkami, a z radością przyjmowanych w domach przez ich mieszkańców.

Obecnie w okresie po Bożym Narodzeniu Komitet Pomocy SOS Solidarność wspólnie z Miejskim Ośrodkiem Kultury i z Miejskim Ośrodkiem Terapii postanowił tę staropolską tradycję odnowić.

KOLĘDA.

Jest to pieśń, której nazwa pochodzi od łacińskiego "calendae". Pierwotnie tak nazywano noworoczną pieśń życzącą. Najstarsze takie kolędy w literaturze polskiej zachowały się w "Ludyach wieśniaczych" (1543). Świeckie kolędy ludowe to najdawniejszy okaz polskich pieśni ludowych. Do dziś są żywe na Rzeszowszczyźnie.

Pieśń bożonarodzeniową zaczęto nazywać kolędą dopiero w XIX w. Wcześniej wiersze bożonarodzeniowe nazywano rotulami, pieśniami, piosenkami, kantyczkami, bardzo rzadko kolędami. Wynikało to z faktu, iż nie wyróżniała się ona spośród innych pieśni religijnych. Miała biblijną treść, modlitewną budowę (zwrot i prośba), przypominała hymn.

Kolęda w postaci, w jaką dziś się spotykamy, pojawiła się w XVI w., a wyrosła z jasełkowego zwyczaju, kołysania Dzieciątka. Nasze kolędy-kołysanki są w większości tekstami oryginalnymi polskimi. Pieśni te wzruszały się bezzadnością dzieciństwa, zwracały się wprost do nowo narodzonego, używały licznych zdrobnień i zwrotów kołysankowych. W XVII w. (największa ekspansja kolędy przypada na okres Baroku, a więc XVII-XVIII w.) pojawiły się dwie inne odmiany kolędy: pastorałka i kolęda spekulatywno-mistyczna, która operowała paradoksalnym zaskoczeniem, lirycznymi uniesieniami, tklivymi zachwyty. Do najważniejszych osiągnięć tego nurtu należą "Bóg się rodzi - moc truchleje" Franciszka Karpińskiego i "Mizerna, cichastajenka licha" Teofila Lenartowicza.

Przyświeca nam podwójny cel: wytworzenie bliższej więzi między mieszkańcami naszego miasta i otwarcie się na innych ludzi naszych bliznich potrzebujących pomocy.

Kilkusobowa grupa młodzieży pod naszym wspólnym patronatem z gwiazdą i z sercem SOS - naszym emblematem będzie chodzić od domu do domu i śpiewać te nasze prześliczne polskie kolędy. Prosimy nie zamykajcie przed nimi drzwi, ale przede wszystkim własnych czułych serc. Nie zapomnijcie też - na ile kogo stać - wrzucić do puszek jakiś grosz dla biednych, którym już coraz częściej nie starcza na chleb.

Nasz gorący apel kończymy fragmentem innej kolędy:

*Cicha noc, święta noc,
Pokój niesie ludziom wszem,
A u żłobka Matka Święta
Czuwa sama uśmiechnięta
Nad Dzieciątka snem
Nad Dzieciątka snem...*

Komitet Pomocy SOS "Solidarność"

...i mieszkało między nami

W okresie świąteczno-noworocznym częściej niż kiedykolwiek poddajemy się refleksji nad swoim życiem, dokonujemy obrachunków, wspominamy. Któż z nas, przygotowując się do Wigilii, nie wraca pamięcią do lat swojego dzieciństwa, nie odczuwa wzruszenia związanego z przypomnieniem tych spośród najdroższych sobie osób, których nie ma już wśród żywych. Kogo nie rozrzuca choinka, kolęda, łamanie się opłatkiem...

Pierwszy zapamiętany przeze mnie w dzieciństwie obraz wiąże się w pewien sposób ze Świętami Bożego Narodzenia. Jest to widok z okna pierwszego piętra kamienicy. Na ulicy przed domem stoi traktor "Ursus" (bardzo głośne dosłownie i w przenośni osiągnięcie naszej myśli technicznej epoki stalinowskiej). Na przyczepę ładowane są jakieś meble, taborety, pada śnieg... Byłem wtedy tak mały, że-podobno - nie powinienem tego pamiętać. Ale pamiętam. To była nasza eksmisja ze służbowego mieszkania, po wyrzuceniu ojca z dziennikarstwa. Za przynależność brata do organizacji, za ojca oficera, wreszcie i za jego własną "nieprawomyślność" i za AK...

Późniejsze przeżycia są już inne, choć wcale w nie mniejszym stopniu dla mnie - brzdąca - interesujące. Raz był to spacer z ojcem na sankach do lasu po choinkę. Inne wspomnienia wiążą się z podróżyami przez całą Polskę, do rodziny. To bytyżymy! Pamiętam też wyprawę na sianich przez zasypy i śnieżyce, do szosy, do "pekaesu". A tu nic... Więc dalej w drogę 12 kilometrów do najbliższej stacji, przesiadka do jakiejś okazynie zatrzymanej (zielonej) syrenki, jazda do Puław. A potem, po całonocnej podróży "szczecińskim" pospieszonym, czekanie na przesiadkę, marznięcie na dworcu, marznięcie w kurnikowych wagonach lokalnego, towarowo-osobowego pociągu, rozcieranie rąk i nóg przez mamę... Tak wyglądał wyjazd z "zesłania", z zabitej deskami wsi, do babci mieszkającej w jednym z niewielkich, pomorskich miasteczek. Mam prawo go pamiętać. Pierwszy raz w życiu byłem wtedy w kinie.

Ale najczęstsze moje wspomnienia "gwiazdek" wiążą się z książkami, które dostałem jako prezenty pod choinkę. "Koń bez głowy" Paula Berny, "Latająca klasa" Ericha Kastnera i - a jakie - pierwszy "Kalendarz Lubelski". Pamiętam, jakby to było dziś, jego okładkę. Gdybym chciał się postarać, być może opowiedziałbym niejedną z zamieszczonych w nim artykułów. W tym to właśnie kalendarzu po raz pierwszy przeczytałem nazwę: Świdnik. Pod datą 4 stycznia drzącą ręką dokonałem swojego pierwszego jakże ważnego, kronikarskiego wpisu: "rozbiieranie choinki"...

Z ubieraniem następnej kojarzy mi się melodia z filmu "Czarny Orfeusz", tak chętnie wówczas

nadawana przez lubelskie radio. To było już w Świdniku, po powrocie naszej rodziny "do miasta", do cywilizacji. Na tę choinkę rodzice już z miesiąc wcześniej kupili nowe, piękne bombki. Za to niewiele brakowało, a nie udało by im się kupić... samej choinki. Pamiętam, że mieliśmy wprawdzie "talon", wiele godzin spędziłem na "dyżurach" koło betonowego bunkra magazynu z meblami (okolicie dzisiejszego targu). Z opresji, być może trochę nieformalnie, wyratował nas wtedy leśniczy, pan Borkowski...

A potem już "normalnie" święta. Coraz mniej wzruszeń, bo to i człowiek "coraz starszy", coraz mniej podatny na uleganie takim "niepoważnym" emocjom. Ale zawsze gdzieś tam w głębi, ukryte przed otoczeniem, legły się nastroje, które dzisiaj są pozwyką dla sentymentalnego wspomnienia.

Pamiętam ciepłe, deszczowe święta, kiedy postanowiłem wybrać się "auto-stopem" na drugi koniec Polski, do babci. Nie ja jeden - jak się okazało - byłem tak "zbuntowany" w tym kulminacyjnym okresie kontestacji. Wigilię spędziłem w pustym pociągu pijąc butelkę rieslinga z "gigancie". Ja jej podarowałem sweter, ona mnie porcelanową lalęczkę. Pamiętam mroźne powietrze i niepokój Bożego Narodzenia 1970 roku. A potem już "swoje" święta, kiedy to staraliśmy się "nasycić" przyszłymi wspomnieniami nasze dzieci. A więc znowu kulminacja nastroju podczas ubierania choinki, a więc opłatek, barszcz z uszkami, na które Donatka zbierała grzyby na Roztoczu jeszcze latem, radosne zdumienie Cypriana "kiedy to ten Mikołaj zdążył niepostrzeżenie przyjść i położyć prezenty".

Niewątpliwym zgrzytem w tej kolekcji wspomnień już do końca życia pozostaną święta z 1981 roku, spędzone w osamotnieniu, bez kontaktu z najbliższymi, podczas ukrywania się. To było tylko (a może aż?) dwanaście lat temu...

Jakże inne czasy mamy, a przynajmniej powinniśmy uważać, że mamy dzisiaj. Tyle tylko, że te inne czasy, niosą inne problemy i inne zmartwienia. Pisałem rok temu o przebiegu Wigilii dla najuboższych "u Brata Alberta". Do dzisiaj mam w oczach obraz pięcioletniego Adasia, któremu po buzi cieknie barszcz, podnoszony drzącą ręką. W ilu to domach w tym roku Święta będą bardziej niż skromne? Czy mniej będzie takich domów za rok?

Może jednak spróbujmy na ten jeden, jedyny w roku wieczór zapomnieć o zmartwieniach. Tak w gruncie rzeczy mało ważnych, jeśli popatrzymy na nie z perspektywy betlejemskiego żłobka.

Spokojnych, i pogodnych Świąt! Szczęście Boże!

Cezary Listowski



ZIMOWE PRZYGODY LOTNIKÓW

W lutym tego roku minęło 30 lat od rozegrania w Świdniku i Lubelskich Zimowych Zawodów Samolotowych, natomiast w lutym przyszłego roku przypadnie jubileusz 5-lecia przeprowadzenia, na tym samym świdnickim lotnisku, ostatnich (VI) Lubelsko-Podlaskich Zimowych Zawodów Lotniczych. Jak nietrudno zorientować się, te dwa zimowe turnieje "rycerzów skrzydlatych", toczono w różnym czasie, przed i po wojnie, na zasadniczo odmiennych samolotach, a uczestników siłą rzeczy dzieliło całe pokolenie, a może i dwa.

Impreza o bogatej, sięgającej 1931 roku tradycji, jedyna w Europie, zapadła (o ironio!) w zimowy letarg przed kilku laty, kiedy przy okazji "porządkowania" naszej gospodarki zabrakło środków na jej kontynuowanie. Myślę, że określenie "letarg", jako coś z czasem przemijającego, jest w odniesieniu do zawodów zimowych najwłaściwsze. Nie wyobrażam bowiem sobie, aby nie zostały one wznowione! Tymczasem pozostało nam wspomnienie zimowych przygód lotników, których na przestrzeni prawie 60 lat było całkiem mało.

Niedawno gościł w Lublinie, od 47 lat osiadły w Stanach Zjednoczonych, płk pil. w st. spocz. - Wojciech Kołaczkowski. Wychowanek Lubelskiego Klubu Lotniczego, w czasie wojny pilot myśliwski i dowódca słynnego dywizjonu 303, miał także swoją zimową przygodę w zawodach rozegranych w 1933 roku. Prof. Pruszkowski, kronikarz lubelskich turniejów, tak to opisał:

...Wielką sławą okrył się młody Lublinianin, Kołaczkowski, boć chociaż nieszczęściem trzy razy do siadania przymuszono, przecie maszyny nie rozbił i dnia drugiego całą do domu przywiódł, z którego to czynu kronikarz wielką młodemu rycerzowi przyszłość przepowiada a życzy...

Dokładnie to nie wiadomo dlaczego Kołaczkowski był "trzy razy do siadania przymuszony". W oficjalnych przekazach winą obarczono kapryśny silnik. Najpierw bowiem załoga Kołaczkowski - Grzeszczak lądowała przymusowo na etapie pomiędzy Sandomierzem a Dęblinem, usunęła defekt silnika i następnego ranka wystartowała do Lublina. Na dwa kilometry przed celem silnik znowu odmówił posłuszeństwa. Po "polowej" naprawie został uruchomiony i... Widzieli już lotnisko, kiedy po raz trzeci śmigło stanęło! Z ledwością udało się im "posadzić" samolot na półku graniczącym prawie z lotniskiem na lubelskich Bronowicach.

Zapytany o tę przygodę sędziwy płk Kołaczkowski najpierw głęboko westchnął, uśmiechnął się i w końcu wyznał:

- To było 60 lat temu, dziś nic już nie grozi mojemu obserwatorowi. Otóż Grzeszczak zapomniał, że samolot LKL-4 miał dwa zbiorniki na paliwo i przed wyruszeniem na trasę zatankował do pełna tylko jeden. Ja sądziłem, iż mamy paliwa "full", ale w obu zbiornikach, no i pomiędzy Sandomierzem a Dęblinem nam zabrakło. Benzynka, którą wleliśmy po pierwszym przymusowym lądowaniu, widać nie za bardzo "smakowała" silnikowi, bo zawiódł nas dwukrotnie. No, ale nie mogliśmy przecież ujawnić prawdziwej przyczyny bo by nas zdyskwalifikowali, a Grzeszczak musiałby zdawać pewnie egzamin z eksploatacji samolotów.

W pierwszych latach po wznowieniu zawodów zimowych w 1963 roku prócz dziennych konkurencji rajdowo-nawigacyjnych była też zawsze jedna "konkurencja nocnej prawdy" jak ją określano. Bo w dzień, jak to w dzień - wiadomo. Przy bezchmurnej, słonecznej pogodzie można stracić punkty na znakach lub zdjęciach, czy przy przekroczeniu tolerancji regularności. Zblądzić raczej trudno.

Bez większych też sensacji rozegrano w lutym 1972 roku cztery konkurencjeienne i nadeszła "noc prawdy". Samoloty znacząc światłami pozycyjnymi drogę swego lotu, kolejno opuszczaly świdnickie lotnisko i wtapiały się w ciemność nocy.

- Miesiąc świeci, jasno jak w dzień - zauważył instr. Jan Lemieszonka, kiedy ostatni "Gawron" zniknął na czarnym tle nieba. Dla niego, doświadczanego nawigatora w nocnym lataniu bojowym z czasów wojny, taka spacerowa trasa nocką to przysłowiowe małe piwo.

- No, zobaczymy, zobaczymy - z zadumą w głosie skwitował kierownik sportowy zawodów - instr. Zdzisław Dudzik.

- Poblądzić niemożliwość - trwał w swym przekonaniu stary nawigator.

Nie upłynęło pół godziny, gdy z trasy powróciła załoga startująca jako pierwsza w całym peletonie. A potem, mniej więcej regularnie co kilka minut lądowały następne. W pewnym momencie nastąpiła dłuższa przerwa, ale nie wywołało to jeszcze zaniepokojenia. Dopiero, kiedy na stoisku znalazł się ostatni - 27-my samolot i umilkł jego wyłączony silnik, ktoś stwierdził, że brakuje załogi Aeroklubu Lubelskiego.

Co stało się z Jerzym Dyczkowskim i jego nawigatorem Andrzejem Czubińskim? Odpowiedź na to pytanie dotarła na lotnisko w wiele godzin później.

Jurek Dyczkowski, zwany popularnie Dziemem, relacjonował:

- Byliśmy już na ostatnim odcinku trasy, gdzieś nad miejscowością Piotrowice. W dali błyszczała tępą światła Lublina. Nagle, silnik zakrzęsł się i... umilkł. Zapanowała drażniąca cisza. Mieliśmy około 500 metrów wysokości nad terenem, nie wiadomo jak ukształtowanym. Pamiętałem jednak z poprzednich dziennych lotów, że okolica jest tam raczej pagórkowata. "Gawron" przy akompaniamencie lekkiego szumu spływał łagodnym ślizgowym lotem coraz niżej.

Zapaliłem podskrzydłowy reflektor, żeby coś zobaczyć. Ale chyba niepotrzebnie, bo smuga światła nie miała żadnego punktu oparcia. Takie świecenie w przestrzeń jak w otchłań.



Byliśmy jeszcze za wysoko, aby móc coś w tym świetle wypatrzyć. Zgasilem. Jeszcze gorzej, gdyż wzrok utonął w zupełnej ciemności. Zaciągnęliśmy odruchowo mocniej pasy bezpieczeństwa. Tak na wszelki wypadek.

Ponownie włączyłem reflektor, gdy byliśmy już znacznie niżej. Może na 50-60 metrach. Dokładnie nie wiem, bo wszystko działało się po omacku. W smudze światła dostrzegłem - jak mi się wydawało - względnie gładkie, zaśnieżone pole. Nawet dość spore. I znowu przypomniałem sobie liczne w tej okolicy pagórki, poprzecinane parowami. Ale trafiliśmy jakoś szczęśliwie. Płoty nart namacały śnieżny materac, poślizgały się trochę i samolot

po chwili znieruchomiał. My też. Dłuższy czas siedzieliśmy w kabinie bez słowa.

Emocje zaczęły się dopiero po opuszczeniu samolotu. Nie wiedzieliśmy dokładnie gdzie jesteśmy i w którą stronę iść, aby dotrzeć do jakiegokolwiek drogi. Głuchą i pustą. Z dala tylko dolatywało ujadanie psów. Spojrzałem na zegarek: było wpół do pierwszej. Ruszyliśmy na przelaj, kierując się w stronę mających w księżycowej poświacie odległych zabudowań.

Niedaleko wsi obokoczyły nas szczekające psy, wyraźnie zainteresowane naszymi spodniami. Jakoś udało się je odpędzić i tak dotarliśmy do drogi w kierunku Wysokiego. Szukaliśmy telefonu, aby powiadomić lotnisko, że jesteśmy cali i podać miejsce naszego przymusowego lądowania.

W jednym z chłopskich obejść dostrzegłem ruch. Ruszyliśmy w tamtym kierunku. Na podwórku gospodarz zaprzęgał konie do sarni. Zapytałem gdzie jest najbliższy telefon, ale fuknął na mnie.

- Nie zawracaj pan głowy, bo mi się śpieszy. Jadę do wypadku. Tam na polu rozbił się samolot!

Okazało się, że we wsi, nad którą przelatywaaliśmy był punkt kontroli czasu i dokładnie nad głową komisarza sportowego przerwał pracę silnik naszego samolotu. Pełen niepokoju obserwował z odległości kilku kilometrów manewry "Gawrona" zniżającego się do tego niezwykłego, nocnego lądowania w przygodnym terenie. On też natychmiast przystąpił do organizowania akcji ratowniczej, budząc gospodarza najbliższych zabudowań. Ten ostatni natomiast był bardzo zaskoczony naszym pojawieniem i wyraźnie zadowolony przeniesieniem wyprawy na ratunek rozbitkom. Z niedowierzaniem też słuchał naszej relacji zdawanej komisarzowi.

- To niby jak to. Spadliście razem z samolotem na ziemię i żyjecie? I nic się wam nie stało? - wykrzyskiwał wreszcie swe wątpliwości.

Nie zdążyliśmy mu tego wyjaśnić, bo z nienacka na drodze pojawiła się błyskawica niebieskimi światłami, karetka pogotowia z Bychawy, a w chwilę potem druga z Lublina. Ktoś wezwał telefonicznie pomoc.

Później, kiedy już ochłonąłem z nadmiaru wrażeń,

przeanalizowałem całą sytuację. Od momentu awarii silnika do chwili zatrzymania samolotu po lądowaniu. Doszedłem do wniosku, że od poważnej kraksy uratowały nas...narty. Gdybyśmy zamiast nart mieli pod kadłubem koła, to w najlepszym wypadku skończyło by się "kapotażem" i rozkwaszeniem nosów.

Tak więc dzięki nartom w tamtym locie, Dyzio i jego nawigator mają dziś całe nosy, a ponadto zdobyli jedno lotnicze doświadczenie więcej. A to też nie jest bez znaczenia w karierze pilota.

Tadeusz Chwałczyński

WYSTARCZAŁO SZCZEPIENIE OSPY...

dokończenie ze str. 4

gie. Z chwilą wybudowania i oddania do użytku nowej hali B-2 (dawniej 8-ki), a był to rok 1952, w pomieszczeniach przeznaczonych dla biur (obecnie biura kierownictwa W-56), jeden pokój otrzymało ambulatorium zakładowe, a naprzeciwko laboratorium zakładowe.

Ambulatorium zakładowym "zrządził" felczer p. Liwiak - w laboratorium zaś pracowali chemicy. Siedzieli zaprzyjaźnili się szybko. Pan Liwiak ratował często "podtruwających się" z rąk pracy w prymitywnych warunkach chemików, a chemicy dostarczali sprzętu laboratoryjnego (zresztą bardzo ubogiego) i potrzebnych odczynników.

Nie brakowało też - z rąk sąsiedztwa - sytuacji komicznych kiedy pacjenci, a szczególnie speszone jak zawsze u lekarza, pacjentki - rozbrajały się po przyjęciu do laboratorium a rozebrane wyjaśniały cel wizyty

ku ucieśce młodych i wesołych chemików. Laboratorium - ambulatorium - przecież to tak łatwo pomylić...

Pan Liwiak - felczer wojskowy - leczył skutecznie zważywszy fakt, że cała załoga była młoda, a średnia wieku nie przekraczała 25 lat. Choroby zaś to przede wszystkim wszelkiego rodzaju urazy, jak to zwykle na budowie i bóle brzucha do czego w niemałym stopniu przyczyniała się stołówka zakładowa. Przypadki poważniejsze odsyłało do Lublina.

W roku 1953 Ambulatorium otrzymało oddzielne pomieszczenie w budynku zajmowanym obecnie przez Wartownię. Ambulatorium składało się z 3 pokoi: poczekalni oddzielonej prowizoryczną ścianą od gabinetu zabiegowego i maleńkiego pokoju lekarskiego. Nowe Ambulatorium objął lekarz Jarzyna. Pracowało już wtedy 2 felczerów i 2 pielęgniarki.

Rozpoczęto pierwsze badania okresowe załogi. Wtedy właśnie po raz pierwszy zetknęliśmy się z lekarzem zakładowym. Jako lekarz zakładowy p. Jarzyna miał mnóstwo pracy. Okres ten to gwałtowny wzrost produkcji. Za wszelką cenę wyrabiano i przekraczano normy niezależnie od przygotowania stanowisk pracy, często nie zabezpieczonych, bez wentylacji. Nawet na galwanizerni wentylatory pusły się często. Stanowiska z benzyną nie posiadały wyciągów, lakiernie nie miały wentylacji bo wentylatory nie nadeszły na czas albo przyszły niekompletne. W większości przypadków używano i stosowano wentylację naturalną tj. otwierano okna i drzwi. Pracownicy wychodzili przed halę dla nabrania powietrza. To były lata 1950-1955. Ważna była produkcja niezależnie od warunków pracy. Śmętne głosy o poprawę warunków pracy traktowane były prawie jak sabotaż. Na montażu, niterzy nitowali młotkami pneumatycznymi na

kadłubach i w kadłubach odrzutowców po 10, 16 a nawet 18 godzin dziennie. Zarabiali bardzo dużo, normy były przekraczane, ale nikt z nich, ani nikt z nich o zdrowiu nie myślał. Do produkcji wchodziły często nowe materiały z importu, często nieznanne. Nikt nie zachowywał ostrożności. Liczyła się wtedy cena narzędzia, cena sprzętu, cena produktu. Najmniej liczyło się ludzkie zdrowie.

Po lekarzach Jarzynie i Wolskim, którzy byli pionierami lecznictwa zakładowego w WSK, placówkę objął dr Górny. Nowy kierownik dążył do stworzenia - w dużym już zakładzie posiadającym jedynie ambulatorium - przychodni przyzakładowej. Jego to zasługą, wynikiem starań i pracy, było przekazanie do adaptacji w roku 1965 sułetery budynku administracyjnego i przebudowa jej na przychodnię.

Krystyna Knapieńska

Mając już poza sobą (ale jeszcze w pamięci i w kościach) świąteczne przygotowania, siedząc przy choince i pojadając świąteczne smakołyki, przeczytajmy jak obchodzą Boże Narodzenie mieszkańcy innych krajów.

O świąteczne zwyczaje zapytaliśmy Nigeryjczyka - Evansa Oyudo, Szwedkę Irinę Policastro, jej męża Pasquale - Włocha. Naszym rozmówcą był także Joe Kagel z USA i Niemiec Christian Egner.

●●●

Irina i Pasquale Policastro mieszkają od kilku lat w Polsce. Ich polsko-szwedzko-włoski synek Sergio ma już prawie 3 miesiące.

Z Iriną rozmawiam w ich lubelskim mieszkaniu. Jako pomoc służy pięknie, kolorowo wydana "Księga świąt", zawierająca zarówno przepisy kulinarne jak i wszystkie zwyczaje związane z Adwentem i Bożym Narodzeniem w Szwecji.

- Bardzo miłym zwyczajem, którego mi w Polsce brakuje, są grudniowe wieczory spędzane wspólnie z zaprzyjaźnionymi rodzinami. Podczas tych spotkań robi się ozdoby choinkowe. Na Adwent dzieci przygotowują specjalne kalendarze i codziennie liczą ile jeszcze dni pozostało do świąt. W każdym domu jest także świecznik adwentowy, czteroramienny, bo przed nami 4 tygodnie oczekiwania na Boże Narodzenie. Co tydzień zapala się kolejną świecę.

Szwedzkie dzieci nie znają zwyczaju otrzymywania prezentów w dniu św. Mikołaja. U nas natomiast obchodzimy św. Łucji. Przygotowuje się na ten dzień drożdżowe bułeczki z szafranem. Mają one różne kształty, od lat takie same, np. koty szafranowe, peruka księża. Pieczemy też pierniczki pieprzowe.

Tradycyjnie, w dzień św. Łucji dzieci budzą swoich rodziców śpiewem kołedy. Są ubrane w białe szaty. Mają zapalone świece i podają im do łóżka kawę z bułeczkami.

W Wigilię pościmy. Zgodnie ze zwyczajem jemy suszonego dorsza wcześniej moczonego 2 tygodnie (od 9 grudnia) w specjalnej zalewie, a następnie gotowanego i podawanego z ziemniakami.

Nie znamy natomiast opłatka. Również u męża we Włoszech nie ma zwyczaju łamania się opłatkiem. Zamiast Pasterki, mamy mszę o godzinie 6 rano w dzień Bożego Narodzenia.

Choinkę ubieramy 23 grudnia. Bardzo ważnym i przestrzegany zwyczajem jest wystawianie wieczorem przed drzwiami miski z gotowanym na mleku

ryzu dla domowego krasnoludka. Zapewnia to szczęście dla rodziny na cały rok. Tego wieczora wieszamy pończochy na prezenty. Przynosi je nocą stary krasnoludek.

Główną potrawą na świątecznym stole jest kilkukilogramowa szynka. Gotuje się ją w całości, potem smaruje musztardą, panieruje w bułce tartej i jeszcze zapieka. Na stół podaje się całą, pięknie żmurnioną. Obok niej nieodłącznym elementem świątecznego stołu są przygotowywane na wiele sposobów śledzie. Im więcej, tym lepiej to świadczy o gospodni, np. moja mama przygotowuje śledzie w musztardzie, w szarym sosie, w occie i oczywiście kilka rodzajów na słodko. Są jeszcze paszety mięsne, galarety z mięsa wieprzowego lub z drobiu oraz pulpety smażone z mielonego mięsa. Do tego podajemy sałatki z marynowanych buraczków (na słodko) i z białej kapusty.

Do śledzi Szwedzi piją wódkę lub specjalne świąteczne piwo. Oprócz tego grzane wino, do którego podaje się w glinianych miseczkach migdały i rodzynki oraz koktaile z szampana lub białego wina z sokiem z czarnego bzu.

Na święta pieczemy również domowy chleb i przygotowujemy słodczy. Smakiem przypominają polskie krówki.

Przygotowania do świąt trwają cały grudzień. Pieczemy, marynujemy, sprzątamy. Cały dom ma świąteczny wystrój, specjalne firanki, obrusy, z przewagą koloru czerwonego.

Pierwszy dzień świąt spędzamy w gronie rodziny. Znajomych odwiedzamy następnego dnia.

Rodzina Pasquale mieszka 50 km od Neapolu. Są katolikami.

- W wigilię Bożego Narodzenia zachowujemy post. Dopiero po mszy odprawianej w południe spożywamy rybny obiad, z tradycyjnym smażonym węglem. Do tego pijemy białe wino, a do ciast szampana. Czas do Pasterki spędzamy w gronie rodziny, oglądając program telewizyjny, bawiąc się z dziećmi. Szczególnie popularna jest tombola, gra podobna do bingo.

Generalnie na północny Włoch jest wiele zapożyczeń z kuchni austriackiej, a w okolicach Turynu z kuchni francuskiej. Stąd różnorodność ciast. Od wielkich chlebów nadziewanych rodzynkami i kandyzowanymi owocami po nieduże, podłużne ciasteczka smażone w oleju i podawane z miodem i owocami.

Bardzo różne są też dni, w których Włosi obdarowują się prezentami. Jedni czynią to 6 grudnia, w dzień św. Mikołaja, innych obdarowuje św. Łucja lub Trzej Królowie.

Tradycją włoską jest szopka, która stoi w domach do 6 stycznia. Choinka upowszechniła się dopiero w latach 60-tych, dzięki reklamom telewizyjnym. W moim rodzinnym domu ubieramy drzewko rosnące w ogrodzie przed domem, gdyż wycinanie drzewek jest strasznym barbarzyństwem.

Głównym daniem świątecznego obiadu jest indyk. Włoskie gospodynie używają tego dnia najelegantszych obrusów, sztućców. Ozdabiają stół świecami i świeżymi kwiatami. Boże Narodzenie jest największym świętem we Włoszech. Obchodzimy je rodzinie. Dużo jemy, więc dla lekarzy okres poświąteczny to dni wzmożonej pracy. Od ubiegłego

nakazuje spędzać je wśród najbliższych. Tak też jest w rodzinie Joe. Boże Narodzenie staje się okazją do spotkania rodzeństwa. Joe mieszka bowiem w sąsiednim stanie.

W Wigilię cała rodzina chodzi do kościoła. Tu też jest oświętnie. Są choinki, szopka.

Świąteczny obiad rozpoczyna się między 1 a 2 po południu. Głównym daniem jest pieczony indyk, podawany z ziemniakami i mnóstwem innych warzyw. W domu rodzinnym Joe jada się tego dnia różne potrawy, zgodnie z upodobaniami poszczególnych członków rodziny. Podobnie jest z ciastem. Każdy ma swoje ulubione, przygotowywane oczywiście w domu. Piecze się zwykle 6-7 rodzajów ciasta. Joe lubi szarlotkę i babeczki.

Sporo pije się piwa, wina, czasem szampana. Joe

Boże Narodzenie nie tylko po polsku

roku daje się zauważyć pewne ograniczenie wydatków, spowodowane kryzysem gospodarczym. Włosi mają mniej pieniędzy i mniej wydają.

●●●

Evans Oyudo, Nigeryjczyk, przedstawiciel holenderskiej firmy zajmującej się ochroną środowiska, mieszka w Polsce już 12 lat. Studiował w Lublinie. Tutaj też zrobił doktorat.

- W Nigerii najczęściej jest wyznawców Islamu, ale mieszkają też katolicy, którzy święta Bożego Narodzenia obchodzą podobnie jak w Polsce. Najistotniejszą różnicą jest to, że zamiast choinki mamy... palmę. Wycinamy młode drzewko i też przysrajamy, ale bez waty imitującej śnieg, gdyż Nigeryjczycy go nie znają. W Wigilię pościmy, nie gotujemy. Spożywamy tylko ryby. Opłatkiem łamiemy się w kościele, po uroczystej mszy.

Przygotowanymi wcześniej potrawami delectujemy się dopiero w pierwszy dzień świąt. Wieprzowina nie jest u nas popularna, więc wszelkie pieczenie, wędliny robimy z mięsa kóz lub z wołowiny. Typowym daniem są flaki, szaszłyki i coś w rodzaju polskiej kaszanki. Mieszmą krew z gotowanym mięsem. Bez kaszy. Przyprawiamy na ostro, dodając sporo czosnku. Danie to musi być przygotowane dzień wcześniej. Do tego podajemy ryż.

Po południu, mniej więcej o 14,00 wychodzimy z domów. Tańczymy, bawimy się wspólnie. Święta przeżywamy jako ogólny karnawał. Jeżeli to tylko możliwe, Nigeryjczycy biorą urlop od Wigilii do 2-3 stycznia. Nowy Rok witamy także uroczystie i wesoło. Powiedziałbym, że nawet huczniej niż w Europie. Nikt nie zostaje w domu. Pije się dużo zachodnich trunków, np. whisky, ale najpopularniejsze jest wino palmowe. Aby je przygotować wystarczy wywiercić otwór na wierzchołku drzewa i włożyć w niego rurkę. Sok z palmy spływa do przygotowanego wcześniej zbiornika. Trwa to około tygodnia. Tak otrzymane wino jest bardzo smaczne i zdrowe. Szczególnie dobrze działa na wzrok. Zawiera oczywiście alkohol (15%) i dużo cukru.

Tak wyglądają święta w Nigerii, ale ja i moja żona, pochodząca z Holandii, żyjemy mieszkanką tradycji holenderskich, polskich i nigeryjskich. Od wielu lat bowiem jesteśmy poza rodzinnymi krajami.

W tym roku państwo Oyudo spędzą święta i Nowy Rok w Nigerii.

●●●

Joe Kagel jest już w Świdniku 3 miesiące. Pochodzi z Crosby w Minnesocie. Pracuje w stanie Wisconsin. Jest Amerykaninem.

W Stanach Zjednoczonych przygotowania do świąt rozpoczynają się bardzo wcześnie. Właściwie zaraz po Święcie Dziękczynienia. Sklepy i pasaze handlowe są rześkie oświetlone, świątecznie udekorowane. Rozpoczynają się gwiazdkowe zakupy.

Przed domami stoją duże, oświetlone choinki. Drzewka są także w mieszkaniach i tu znajduje się prezenty gwiazdkowe. Nie wszystkie rodziny obchodzą Wigilię, niektóre tylko Boże Narodzenie. Bez względu jednak ilu dniowe są święta, tradycja

przedkłada jednak grzane piwo, przyrządzane z jalkiem i przyprawami.

- Po świątecznym obiedzie słuchamy kołed. Oglądamy prezenty. Siostrom kupuję zwykle coś z



ubrania, np. swetry. Ojcu narzędzia. Tym razem może przywieźć coś z Polski.

Rys. S. Socha

- Gdy bylibyśmy dziećmi, zostawialiśmy wieczorem skarpety przy kominku, by na drugi dzień znaleźć je pełne prezentów. Teraz prezenty układamy pod choinkę.

Nowy Rok witam zwykle z przyjaciółmi w barze. Słuchamy muzyki tańczymy, pijemy piwo.

Joe święta spędza w rodzinnym Crosby. Być może w styczniu wróci do Polski.

●●●

Christiane Egner, Hamburg, Niemcy. Okres świąteczny w Niemczech zaczyna się dość wcześnie. Już pierwszego grudnia odlicza się kolejne dni do Wigilii za pomocą specjalnego świątecznego kalendarza (Adventkalender). Każdego dnia otwiera się jedno okienko w kalendarzu i zjada znajdującą się tam czekoladkę. 6 grudnia obchodzimy dzień św. Mikołaja. Przed drzwiami wejściowymi ustawiamy buty, w których następnego dnia znajdziemy słodczy i drobne prezenty. Jeżeli jakieś dziecko jest wyjątkowo niegrzeczne, znajduje w bucie różę.

Wszystkie przedświąteczne niedziele zarezerwowane są na spotkania rodzinne. Siedzimy wtedy razem, pijemy kawę i robimy nieduże wieniec, w których ustawia się cztery świece. Pod koniec każdego tygodnia adwentu zapala się jedną ze świec.

W przeddzień Bożego Narodzenia kupujemy choinkę. Jest to zwykle srebrna jodła - a wieczorem wspólnie dekorujemy ją jabłkami, świecami i złotymi gwiazdkami. Nieco później cała rodzina zbiera się na uroczystą kolację. Po posiłku oglądamy prezenty, śpiewamy kołedy słuchamy muzyki. O północy cała rodzina wychodzi do kościoła.

W Niemczech ulubioną potrawą świąteczną jest pieczona gęś.

Anna Konopka
Sławomir Socha



Rys. S. Socha

Bilans sportowego roku '93

Styczeń

- W Świdniku działają dwa ogniska sportowo-rekreacyjne: TKKF "SWIT" i "JUNIOR" przy ZST. Cztery inne zawiesiły działalność.

- 1:2 przegrali siatkarze Avii w towarzyskim meczu z "Czarnymi" Radom. Spotkanie rozegrano w Warce, z okazji otwarcia nowej hali sportowej w Wareckim Klubie Sportowym "Pułaski".

- W I lidze siatkówki (w grupie B) podopieczni trenera Janusza Kostrzewy podzielili się punktami z "Legią" Warszawa. Dwumecz rozgrywano w Świdniku.

- Dwie porażki siatkarzy "Avii" z "Baildonem" Katowice zniweczyły całkowite plany drużyny świdnickiej awansu do strefy czterech "spokojnych" zespołów.

Luty

- Świdnik odwiedził były as polskiego pięciostwa Jerzy Kulej. Odbył on spotkanie z grupą bokserów amatorów trenujących w świdnickiej szkółce pięciarskiej Waldemara Kowalskiego.

- dwa zwycięstwa siatkarzy Avii nad "Hutnikiem" Kraków.

- Seria spotkań kontrolnych piłkarzy "Avii" przed wiosenną rundą rozgrywek o mistrzostwo II ligi. Nasi rozegrali mecze ze Stalową Wolą, "Górnikiem" Łęczna, "Hetmanem" Zamość i "Siarką" Tarnobrzeg.

- Początek turniejów play off o utrzymanie się w I lidze siatkówki. Przegrana naszych siatkarzy 1:3 i wygrana 3:2 z Hutnikiem Kraków "u siebie".

- Władysław Maciejewski, były II trener pięciarszy "Hetmana" Zamość rozpoczął szkolenie młodzieży pięciarskiej w "Avii".

- Siatkarze Avii za burta! Spadek z I ligi po dwóch porażkach w Krakowie z "Hutnikiem".

- Nowe twarze w II ligowym zespole piłkarskim Avii: Mariusz Stelmach, Wojciech Klich, Albin Jaskot i Aleksiej Letunow.

Marzec

- Dobry początek ligowy piłkarzy "Avia" - "Boruta" Zgierz 1:0!

- Były siatkarz I ligowej Avii (z lat siedemdziesiątych), trener II klasy Jerzy Miszczuk został szkoleniowcem siatkarskiej młodzieży FKS "Avia".

- Dwie porażki piłkarzy "Avii" - z "Górnikiem" Konin i "Błękitnymi" Kielce.

Kwiecień

- Juniorzy młodzi "Avii" wygrali I turniej strefowy w siatkówce z cyklu rozgrywek o mistrzostwo Polski.

- 4:0 piłkarzy Avii w derbowym meczu z "Hetmanem" Zamość. Dwie piękne bramki "Ułana" - Leszczyńskiego.

- 0-0 naszych piłkarzy w wyjazdowym meczu z "Resovią".

- 20-lecie pracy klubowej instruktora tenisa ziemnego - Ryszarda Kutniowskiego.

- 1:0 piłkarzy "Avii" w spotkaniu z liderem tabeli "Karpatami" Krosno.

- Drużynowe zwycięstwo najmłodszych pływaków Avii w lidze makroregionalnej w zawodach z udziałem ekip pływackich WKS "Lublinianka", "Wist" Puławy, "Czarnych" Radom i "Żaka" z Białej Podlaskiej.

- Juniorzy młodzi "Avii" zdobywają II miejsce w kolejnym turnieju strefowym w Radomiu i awansują do dalszych gier z cyklu rozgrywek o mistrzostwo Polski.

Maj

- Turniej tenisowy o Puchar Burmistrza Miasta Świdnika. Drużynowe i indywidualne zwycięstwo tenisistów "Avii".

- 0:0 Avii w derbowym meczu z "Motorem".

- Juniorzy młodzi "Avii" nie sprościli rywalom. W półfinałowym czwórmeczu siatkówki o mistrzostwo Polski, rozegranym w Łodzi ulegli "Stali" Mielec, "Resursie" Łódź i MDK Warszawa.

- 3:0 piłkarzy "Avii" ze "Stalą" Stalowa Wola 1:3 i z "Koroną" Kielce.

- I miejsce pływaków "Orlików" trenera Jacka Miciuła w Ogólnopolskich Korespondencyjnych Mistrzostwach Pływackich na mitingu w Świdniku. Bartosz Ostrowski gwiazdą nr 1 tych zawodów.

Czerwiec

- Avia - Belchatów 0:0 w II lidze.

- Andrzej Gamala, czołowy siatkarz Avii opuścił Świdnik.

- Dni Sportu w Świdniku. Ciekawe imprezy sportowe w Szkole Podstawowej nr 5.

- Porażka piłkarzy "Avii" z "Polonią" Wa-wa 1:3 i remis ze "Stalą" Rzeszów 0:0. Świdniczanin pozostają w II lidze!

- Trzy tytuły mistrzów okręgu dla tenisistów "Avii" (Konrad Kielbasa, Beata Kołodyńska i Rafał Czelej).

- Udałe występy juniorów starszych i młodszych w makrolidze piłki nożnej. Podopieczni trenerów Krzysztofa Szefflera i Eugeniusza Pawlikowskiego w czołówce tabeli.

- I miejsce strzelców lubelskiego GASCOLTU w zawodach zorganizowanych na strzelnicy w Świdniku.

- Działalce LKS Świdniczanin podsumowali sezon piłkarski. Finansowej pomocy udzielają temu klubowi Urząd Miejski w Świdniku i Wojewódzkie Zrzeszenie LZS.

Lipiec

- Wszokie notowania na piłkarskiej giełdzie - Jacka Jedlińskiego i Dariusza Grodzkiego z "Avii".

ukończenie na str. 15

Mimo zajęcia przez siatkarzy Avii czołowej lokaty w tabeli na półmetku rozgrywek ligowych wśród kibiców nadal jeszcze sporo niepewności. Ta maszyna momentami się zaczyna i... trzeszczy. Na ostateczny rachunek zysków i strat trzeba będzie jeszcze poczekać. Zanim to jednak nastąpi kierujemy snop światła na trenera.

● **Jerzy Miszczuk, czterdziestoosmioletni szkoleniowiec Avii, trener II klasy państwowej. Jako zawodnik występował...**

...W MKS-sie Lublin, "Hutniku" Legnica, "Lubliniance" i "Avii". W tym ostatnim zespole często u boku Tomasza Wójtowicza i Lecha Łaski.

Ale nie tylko. W dawnej "paczce" siatkarzy świdnickich było kilku jeszcze innych świetnych zawodników od których można się było wiele nauczyć!

● **A najwięcej od kogo?**

Nie da się ukryć! Szkolili nas znakomici fachowcy - Kazimierz Wójtowicz i Jerzy Welcz. Z ich porad i wskazówek wiele mi do dziś pozostało.

● **Twój życiowy mecz?**

Miałem kilka udanych występów ligowych ale do dziś wspominam najbardziej swój występ w reprezentacji Lublina (pod firmą "Avii") z japońskimi olimpijczykami z Monachium. Kilka razy przyjmowałem wtedy zagrywkę od samego Nekody i za każdym razem czułem paraliż w rękach!

● **W 1974 roku podjąłeś się trenerki. "Wielki" zespół Avii znajdował się już wtedy w rozpływie.**

Na początku szkoliliłem młodzież w SP Nr 3, przez jakiś czas juniorów "Avii", no i wreszcie zespół seniorów.

Przez siedem lat! A rezultaty mojej pracy? Sądzę, że są na ogół wszystkim znane! Graliśmy w czołówce II ligi, a i w I lidze także. Na ekstraklasę zapracowaliśmy solidnie wspólnie z Januszem Kostrzewą.

● **Dziś po latach znowu "powtórka z rozrywki"?**

W lipcu tego roku podjąłem się szkolenia dwóch grup juniorów "Avii", a następnie II ligowego zespołu. Na prośbę działaczy "Avii", którzy zagrali ze mną w otwarte karty.

● **Co to znaczy?**

Dali mi wolną rękę w działaniu. Bez jakichkolwiek interwencji w plany szkoleniowe, a przede wszystkim w budowę nowego zespołu.

● **Czyli po prostu stopniowe odmładzanie drużyny?**

Można to i tak określić!

● **Otrzymałeś "nakaz" wprowadzenia zespołu do I ligi w jakimś bliżej określonym terminie?**

Zgodziłem się na 2-3 letnią próbę czasu. Być może sprawa "wypali" wcześniej!

● **Czy oznacza to, że już dziś mamy aż tak silną drużynę?**

Przebrnęliśmy przez półmetek rozgrywek ligowych poznając dokładnie siłę wszystkich naszych rywali. W moim odczuciu drużyna nie czuła respektu przed żadnym zespołem. Wyrosliśmy na jednego z faworytów tych rozgrywek.

Ciemnowłosy, przystojny, o ujmującym sposobie bycia 36 letni stoper świdnickiej "Avii" MAREK MACIEJEWSKI jest nadal silnym punktem drużyny. Po jednym z zeszłorocznych derbowych meczów z "Motorem", kiedy to zaryglował (na amen) na polu karnym dostęp do własnej bramki lubelska prasa sportowa nazwała go... "profesorem" futbolu. I chyba nie bez kozery. W tym spotkaniu piłkarz "Avii" kopiąc futbolówkę nie pomylił się ani razu. Elegancki z niego gracz, wyjęty jak gdyby z któregoś z okien wystawowych Mody Polskiej, skromny i uśmiechnięty traktuje wszystkie swoje występy w drużynie zawsze jak najbardziej poważnie.

Jego zalety to żelazny spokój, umiejętność "czytania" przebiegu wydarzeń na boisku, pewność interwencji.

Gra płynnie, spokojnie i wręcz nonszalancko. Potrafi silnie i precyzyjnie uderzać piłkę zwłaszcza przy stałych fragmentach gry. Kilka dni po zakończeniu jesiennej rundy rozgrywek uciałem sobie z nim dłuższą rozmówkę w hollu świdnickiej hali sportowej

● **Jeśli się nie mylę to już 11 rok gry Marka Maciejewskiego w barwach "Avii"?**

- Dokładnie tak!

● **Pierwsze kroki na boisku...**

- ... w "Stali" Poniatoła. Do dziś jestem związany uczuciami z tym klubem. A to chyba dlatego, że nauki wyniesione stamtąd nie poszły w las.

● **Po kilku latach gry w III-ligowej "Stali" otrzymał pan pierwsze ciekawe oferty przejścia do bogatych klubów...**

- Pierwszy zainteresował się mną ŁKS.

● **Rozumiem! "Avia" Świdnik bez żadnych kompleksów choćby nawet dla tych najgroźniejszych przeciwników. Ale jak jest naprawdę? Jaki poziom reprezentują zespoły występujące w II lidze, w grupie północnej?**

Jest kilka drużyn, które mają dwóch, trzech graczy wiodących a pozostali w czasie gry równają do tych najlepszych. Są dwa zespoły, które wyraźnie odstają od reszty.

● **Przed rozgrywkami stawiano jednak na**

"Stal" Grudziądz. To miał być zespół nr 1!

Poznaliśmy już dokładnie siłę ognia tej drużyny na jej wasnym boisku. W Grudziądzu gra się rzeczywiście niełatwo. Na parterze i pojedynczej trybunie zasiada najczęściej ponad pół tysiąca wielce hałaśliwych fanów siatkówki, którzy w ciągu całego meczu urządzają "kocią" muzykę. A w przypadku gdy ich drużyna zaczyna tracić punkty stają się z miejsca jednym wielkim gniazdem złośliwych os!

W drugim meczu "Avii" ze "Stalą" rzucono na boisko petarde! Arbitrów z Gdańska prowadzących to spotkanie obrzucono stekiem obelg i wyzwisk. Innymi słowy walkower wisiał w powietrzu. Jeśli zaś chodzi o sam zespół Stali gra on jak widać również niestabilnie. Jest to taka sobie konstelacja siatkarskich gwiazd średniego formatu, które jesienią tego roku "spadły" do Grudziądza z Leżajska, Tomaszowa Mazowieckiego, Gorzowa i kilku innych miast. Najjaśniejszą z nich jest atakujący Gabrych, który nieczęsto się myli. Wspierają go zazwyczaj Dąbrowski i Semeniuk. Pozostali - Świącz, Lewandowski i Roś to ludzie od tzw. czarnej roboty.

Co jest jeszcze charakterystycznym zjawiskiem dla tego zespołu? Jeśli siatkarze Stali znajdują się w poważnych opałach w czasie przerwy w grze podbiega najczęściej do nich średniego wzrostu człowieczek z teczką (miejscowy sponsor) i wyciąga zeń... plik banknotów!

Za wygranie z nami tylko jednego (trzeciego) seta obiecywał podobno każdemu zawodnikowi "Stali" ... 5 mln złotych! Widziałem to tego zabieg!

● **A jaka była reakcja naszych graczy?**

Oni chyba tego nie zauważyli! Spoglądali bowiem raz po raz na tablicę wyników! Było już bowiem wtedy 13:11 - dla Avii! Była także mocno spocona siatka. Szczególnie po naszej stronie! A może pamiętali o twardych warunkach redakcji "Głosu Świdnika" - wygrał jeden raz są - promowani przez gazetę.

● **Kiedy jako trener masz największe bóle głowy?**

Najczęściej wówczas kiedy dowiaduję się, że dwóch, trzech młodych zawodników, których jeszcze nie tak dawno szkoliliłem chce "uciec" nagle ze Świdnika, akceptując nagle oferty możnych sponsorów z innych klubów.

● **I ostatnie pytanie. Będą nowe siatkarskie transfery w Avii?**

Nie kryje, że i o tym ciągle myślę! Są to jednak delikatne sprawy!

Rozmawiał: M. Kruk

"PROFESOR"

Najednym z meczów ligowych "Stali" wpadłem podobno w oko arbitrowi łódzkiemu prowadzącemu to spotkanie. W kilka dni później zjechali do Poniatoły bogaci "kupy" z Łodzi... Do transferu nie doszło. Sprawę "ucia" Lubelski Okręgowy Związek Piłki Nożnej.

Z kolei na kwotę 160 tysięcy złotych "wycenił" mnie lubelski "Motor" i chciano aby przeszedł do tego właśnie klubu.

Odradził mi ten krok mój brat Adam, twierdząc, że to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Kopanie piłki w zespole I ligi - twierdził - to wóz albo przewóz. Tam gracze zmieniają się jak rękawiczki. Dziś jesteś dobry a jutro...aut!

● **Do trzech razy sztuka?**

Oferty świdnickiej "Avii" już nie odrzuciłem! Stabilizowała kompleksowo moje życie.

● **Ile razy wybiegał pan dotąd na boisko?**

- Rozegrałem ponad trzysta spotkań. Ligowych, towarzyskich, pucharowych...

● **A mecz życia?**

- Chyba jednak spotkanie pucharowe z "Ruchem" Chorzów w Świdniku. Wygraliśmy ten mecz 5:4 po rzutach karnych. Pilnowałem wtedy na zmianę raz "Gucia" Krzysztofa Warzychę raz Albina Mikulskiego. Schodziliśmy po tym meczu do szatni slaniając się na nogach!



KRZYSZTOF LEMIESZEK

32 lata, 193 cm, 90 kg. Najbardziej doświadczony zawodnik zespołu. "Lokomotywa" drużyny. Podstawowy środkowy blokujący. Umiejętnie atakujący ze skrzydła. Wzór pracowitości na treningach i waleczności w meczach mistrzowskich.

MIROSLAW**STEFANOWICZ**

30 lat, 200 cm, 93

kg. Kluczowy gracz

zespołu. Najsukces-

niejszego bronią jest

mocny atak z krótkiej

piłki. Duża sprawność

fizyczna mimo

wysokiego wzrostu.

Stosuje celną, kąśliwą

zagrywkę. "Zapora"

w bloku, słabszy w

obronie pola.

ZBIGNIEW BARTKIEWICZ

29 lat, 174 cm, 75 kg.

Były siatkarz AZS Biał

Podlaska i "Górnika"

Łęczna. Po dwuletnim

rozstaniu z siatkówką

wszedł z "marszu" do

zespołu w nowym sezo-

nie ligowym. Pierwszy

rozgrywkowy. Preferuje

szybką, kombiacyjną grę

w polu i przy siatce.

JANUSZ KOSTANIAK

28 lat, 190 cm, 76 kg.

Rutynowy i wszechstronny

zawodnik. Najlepszy

"nadgarstek" w drużynie.

Duże umiejętności przy

stosowaniu "kiwek".

Skuteczny w

zakładaniu pojedynczego

bloku. Zdarzają mu się

jednak i przesto-

wa w grze. Długoletni

rozgrywkowy i kapitan

zespołu.

MARIUSZ KOWAL

24 lata, 190 cm, 92 kg.

Dojrzały siatkarz. Imponuje

skutecznym odbiorem

trudnych piłek, niesza-

blonową zagrywką, umię-

jętnością silnych ataków

ze skrzydeł. Gdyby

tak jeszcze poprawił

blok...

TOMASZ DZIRBA

23 lata, 185 cm, 85 kg.

Wychowanek "Avii".

Zawodnik

leworęczny o silnym

uderzeniu. Średni

blok, słabsza obrona.

Coraz śmielej radzi

sobie z atakiem

z drugiej linii. W

przeszłości zbyt

długo "grzał" ławę.

WOJCIECH

SAMOSZUK

22 lata, 196 cm, 87 kg.

Dруги

leworęczny siatkarz

w drużynie.

Wzorowe przyjęcie

piłki przeciwnika,

umiętność gry w

polu, słabszy atak.

Przyszłościowy,

rozwojowy gracz.

ANDRZEJ

BAGNIUK

21 lat, 187 cm, 78 kg.

Ambitnie

walczy o miejsce w

pierwszej

"szóstce". Mocny

atak z krótkiej

piłki, dobre przyjęcie,

słabszy blok.

TOMASZ ZIELIŃSKI

20 lat, 194 cm, 90 kg. Wznowił treningi po rocznej przerwie. Odrobienie zaległości i dorównanie kolegom wymagać będzie dłuższego czasu.

ARTUR PAWŁOWSKI

19 lat, 194 cm, 79 kg.

Zawodnik o silnej

budowie ale też i

sporych brakach

technicznych. Dlatego

też rzadziej

wykorzystywany w

grze.

MARCIN**MISZCZUK**

19 lat, 186 cm, 75 kg. "Papa" trener widzi go w przyszłości

jako wszechstronnego siatkarza, Marcin "czuje" już grę w

polu, jest natomiast słabszy w bloku.

MICHAŁ CHADAŁA

16 lat, 194 cm, 78 kg. Członek kadry narodowej juniorów

młodszych. "Zdradził" pływanie dla siatkówki. Śmiały i

odważny w poczynaniach na boisku. Wielka nadzieja trenera.

"Łapie" niesłychanie szybko wzrost. A to także cieszy!

Przedstawiliśmy sylwetki 12 siatkarzy "Avii" zaliczonych

do ścisłej kadry klubowej. Cenzurki wystawił swym

podopiecznym I szkoleniowiec z zespołu Jerzy Miszczuk.

Trener żółto-niebieskich powiedział, że ocena wartości

poszczególnych graczy zabrała mu sporo czasu. Nie od dziś

bowiem wiadomo, że każdy z tych zawodników ma pewne

zalety ale też i wady. Stąd też bywa i tak, że jako całość

drużyna nie zawsze gra jeszcze płynnie. Występom naszych

siatkarzy w II lidze daleko jeszcze do wielkich siatkarskich

spektakli ale nie jest to już także... groch z kapustą! Forma

tej "przemebłowanej" od niedawna drużyny rośnie w oczach,

a co chyba najważniejsze, świdniczanie zaczęli znowu

dyktować warunki wszystkim swoim rywalom. I tak trzymać!

m.k.



Fot. W. Wawrzyszko.

FUTBOLU

Nieżył był również mecz (na remis) z "Polonią" Bytom. Ugałębiałem się wtedy za Benigerem. To był szczytny piłkarski lis. Tym razem sobie nie pogra!

Męczący był także dla mnie ligowy mecz z "Hutnikiem" Kraków. W zespole gości grało wtedy kilku niezłych napastników. Biegając za nimi po całym przedpolu spościłem się jak mysz! Była to także remisowa partia.

● No i derbowe mecze z "Motorem"...

- Każdy z nich ma zawsze inną dramaturgię. W każdym trzeba się mocno napracować. Rywale nie przebiegają bowiem w środkach. Te spotkania toczą się zresztą i na boisku i na trybunach.

● Piłkarski wzór stopera "Avii"?

- Tak jak grał "Cesarz" - Franz Beckenbauer mało kto potrafi! W młodości podziwiałem grę polskich stoperów Jerzego Gorgonia, Romana Wójcickiego i kilku jeszcze innych.

● U schyłku lat osiemdziesiątych wyjechał pan do Kanady?

- Skorzystaliśmy z zaproszenia kanadyjskiego klubu TORONTO-FALCONS godząc się na występy w amatorskiej lidze piłkarskiej "polsko-portugalskiej". Pojechalśmy tam - Leszczyński, Kopczan, Kołodziej ja i jeszcze kilku innych lubelskich piłkarzy. A ponieważ tworzyliśmy niezłą paczkę na boisku sięgnęliśmy dwukrotnie po tytuł mistrza ligi.

● Było to jednak "uboczne" zajęcie?

- Zgadza się. Do Kanady pojechalśmy głównie pracować,

a przy okazji kopaliśmy również piłkę i to z nieomałym powodzeniem.

● Jednym słowem nudno nie było?

- Nie słyszałem, aby któryś z nas narzekał!

● Była to również swoista turystyczna wycieczka?

Mnóstwo niezapomnianych wrażeń! Pobyt nad Niagarą, łowienie olbrzymich ryb w jeziorze Ontario, gra w golf, spacer w kanadyjskich "botanikach", towarzyskie spotkania w kawiarence na wysokości 360 m na wieży w Toronto, chińskie potrawy i jaśminowa herbata degustowane w miejscowych restauracjach no i wreszcie codzienny łyk kanadyjskiego piwa w kilkudziesięciu gatunkach. Tego nie da się zapomnieć!

● Marek Maciejewski to nadal okaz zdrowia!

- I oby nie zapeszył! W moich dotychczasowych występach na boiskach omijają mnie dzięki Bogu poważniejsze kontuzje. Drobne urazy i stłuczenia zdarzają mi się owszem, ale szybko się z nich kuruję!

● Czy "profesor" futbolu ze Świdnika będzie szkolił kiedyś młodzież?

- Nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Oznaczało by to bowiem znowu przebywanie całymi godzinami poza domem, do którego przecież każdy z nas zmierza zawsze jak najszybszymi krokami!

Rozmawiał Mieczysław Kruk

PS.

W połowie grudnia dowiedziałem się od trenera Bronisława Waligóry, że na wiosnę przyszłego roku Marek Maciejewski nie wystąpi już w barwach jedenastki żółto-niebieskich. Komentarza w tej sprawie nie będzie.

Bilans sportowego roku '93

dokończenie ze str. 14

- Adolf Bondos stanął na czele nowo wybranego Zarządu FKS "Avia".

W składzie zarządu znalazło się dziewięciu działaczy sportowych. (W latach minionych do zarządu wybierano około 30 osób!).

- Początek nowego sezonu piłkarskiego w II lidze. Bezbramkowy remis piłkarzy Avii z "Włókniarzem" Pabianice i 0:1 w spotkaniu z "Jagiellonią" Białystok.

Sierpień

- Remis piłkarzy "Avii" z "Okocimskim" Brzesko 2:2 i taki sam rezultat w spotkaniu z "Hutnikiem" Wa-wa.

- Piłkarze remisują z "Błękitnymi" Kielce.

- Pokazy strażackie i futbol na boisku LKS "Świdniczanek". 1:4 piłkarzy "Świdniczanek" z "Czarnymi" Dębina i wygrana z "Lewartem" Lubartów 1:0.

- Porażka piłkarzy Avii 0:2 ze "Stomilem" Olsztyn. Po siedmiu kolejkach ligowych na koncie naszych futbolistów tylko...5 punktów!

- I miejsce sportowców ogniska TKKF "Świt" w festynie rekreacyjnym zakładów pracy Lubelszczyzny.

- 2:3 piłkarzy Świdniczanek z "Motorem" II w lidze okręgowej.

Wrzesień

- Awans siatkarzy "Legii" i "Bzury" Ozorków do I ligi po barażowym turnieju w Radomiu. Świdniczanie na IV (ostatnim) miejscu w turnieju.

- Remisy piłkarzy "Avii" z "Karpatami" Krosno i "Wisłoką" Dębica oraz pierwsze zwycięstwo w jesiennej rundzie rozgrywek z "Resovią" 1:0.

- 3:1 piłkarzy "Świdniczanek" z "Tęczą" Kraśnik.

- Szkolna liga w siatkówce i piłce nożnej utworzona została w Świdniku!

- 10 tytuł mistrza Polski w akrobacji samolotowej dla Janusza Kasperka!

- 0:2 piłkarzy "Avii" z "Petrochemią" w Płocku.

- I miejsce "Czarnych" Radom w dorocznym Memoriale Siatkówek im. Z. Pyca i H. Siennickiego.

- 43 młodych tenisistów walczyło o Puchar Komisji Zakładowej NSZZ "Solidarność" na kortach "Avii". Turniej zakończył się sukcesem podopiecznych trenerów Włizy i Kutniowskiego z Avii.

Październik

- Bieg o puchar KLONOWEGO LIŚCIA z udziałem 100 biegaczy zakończył się zwycięstwem Szkoły Podstawowej nr 1.

- Juniorzy młodzi "Avii" liderem tabeli w makrolidze piłkarskiej.

- Tylko jedno zwycięstwo siatkarzy "Avii" (nad AZS II Częstochowa) w ćwierćfinałowym turnieju o Puchar Polski.

- Siatkarze "Avii" zaliczeni ostatecznie do grupy północnej II ligi.

- Remis piłkarzy "Avii" z "Szombierkami" Bytom.

- Remis piłkarzy "Świdniczanek" w wyjazdowym meczu z liderem tabeli "Stalą" Kraśnik 1:1. Wyrównanie dla zespołu gospodarzy padło w ... 96 minucie meczu (!!!).

- Drugie zwycięstwo piłkarzy "Avii" w rundzie jesiennej nad "Bugiem" - Wyszków 3:1.

- Sensacyjny wyjazdowy remis piłkarzy "Avii" z liderem II ligi - "Radomiakiem" - 2:2! I chyba najlepszy mecz piłkarskiej jesieni!

- Udany sezon tenisistów "Avii". Trener Ryszard Kutniowski zapowiada w sezonie 1993/94 udział czołowych zawodników kadry klubowej w turniejach ogólnopolskich.

- Po trzech kolejkach ligowych siatkarze "Avii" opuścili fotel lidera w rozgrywkach o mistrzostwo II ligi.

- Bezbramkowy remis piłkarzy "Avii" z "Hetmanem" Zamość.

Listopad

- Remis żółto-niebieskich w derbowym meczu z "Motorem" 1:1. Świetna postawa świdniczan na boisku w Lublinie i "filmowa" bramka Ulanowskiego.

- Zwycięstwo piłkarzy "Świdniczanek" nad wiceliderem okręgowki "Wisłą" Puławy 2:1!

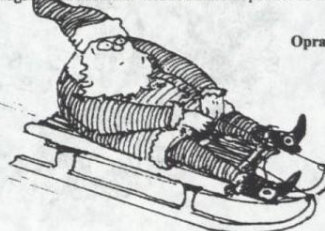
- Początek rozgrywek w szkolnej lidze siatkówki.

- Piękny mecz podopiecznych Mieczysława Rzędzickiego zespołu juniorów starszych w makrolidze siatkówki z "Czarnymi" Radom. Spotkanie trwało 140 minut! Wygrali "Czarni" 3:2.

Grudzień

- Jedyny pięciaczar Avii Grzegorz Szeremeta (waga półśrednia) zgłoszony do mistrzostw Polski w boksie mimo ambitnej postawy przegrywa z "wyjadaczem" Januszem Kujawą z "Zawiszy" Bydgoszcz.

- Mecze prawdy siatkarzy "Avii" z AZS Politechniką Warszawa i "Stalą" Grudziądz nie wyjaśniły niczego. 3:0 i 1:3 w Świdniku z warszawskimi studentami oraz 0:3 i 3:0 w Grudziądzu. Ale odmlodzona drużyna siatkarzy nadal ma wielkie szanse na powrót do ekstraklasy.



Oprac. M.Kruk

OGŁOSZENIA

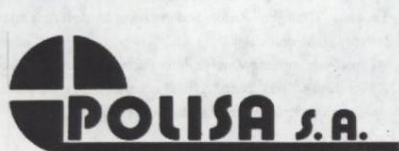
Sklep ogólny – spożywczy „KAMIL”

życzy swoim klientom
zdrowych, spokojnych
Świąt Bożego Narodzenia
i Szczęśliwego Nowego Roku

R-144

Ogłoszenie lekarskie Pediatria, dr med. Janusz Kocki wizyty domowe Tel. 123-73

R/S – 139



Ubezpieczenia
komunikacyjne, majątkowe, osobowe,
rolnicze i lotnicze.

AGENCJA w Świdniku,
ul. Racławicka 38/44 (Dom Rzemiosła),
tel. 130-01 w. 37 w godz. 7.30 – 16.00
AGENCJA w Łęcznej, ul. Połna 75 (Progobex)
tel. 154-36 w. 315, w godz. 8.00 – 15.00.
Rybczewice II nr 98 pośrednik
Janusz Kowalik.

R/S – 141



Andrzej Tłuczkiewicz – ortopeda zaprasza dzieci i dorosłych

w środy i piątki
w godz. 16 – 18.00
Świdnik, ul. Witosa 6/5
(dawna Waryńskiego) Tel. 160-82

R/S – 138

Pracownicza Fundacja Socjalna zaprasza na

BAL SYLWESTROWY

organizowany w stołówce zakładowej
– **bogate menu**
– **doborowa orkiestra**
– **miła obsługa**

Karnety w wysokości 800 tys. zł od pary
można nabywać w PFS w Świdniku
przy Al. Lotników Polskich 1 A,
pokój 212 (w budynku szkolenia)
Bliższych informacji udzielają pracownicy
pod nr telefonu 120-61 w. 54-84 lub 128-
11 w godz. 7.00 – 15.00

R/S – 143

Salon dziecięcy Kubuś

Świdnik, ul. Sławińskiego 14
Zaprasza Państwa na Sylwestrowe zakupy:
fajerwerków dla dzieci i dorosłych :
– **confetti, puzzle wybuchowe, race, petardy**
– **gajzery, fontanny, moździerz**
– **rury 8, 10 i 15 strzałowe**

R/S – 142

Tomasz Chwałczyk

mgr filologii angielskiej
tłumacz przysięgły 21 – 040 Świdnik,
ul. Słowackiego 13/11
Tel. grzecznościowy (0-81) 120-24.

R/S – 135

„GŁOS ŚWIDNIKA” – Tygodnik WSK PZL i Zarządu Miasta w Świdniku.
Redaguje zespół w składzie: Danuta Jasińska, Anna Konopka, Cezary Listowski (red. nac.), Jan Mazur, Sławomir Socha (red. techn.), Irena Wierchoś (sekr. red.).
Stale współpracują: Mieczysław Kruk (dz. sport.), Sławomir Myk (dz. kult.).
Montaż elektroniczny: Maciej Stepniewski.
Rada Programowa: Krzysztof Krzyżanowski, Alfred Bondos, Dariusz Mańka, Zofia Opalińska. Adres redakcji: 21-045 Świdnik, Al. Lotników Polskich 1A, skr. poczt. 10, tel. centrali 120-61 (wew. red. 51-51 i 53-67), rozgłośni 51-52.
Skład i łamanie: „MORPOL” 20-080 Lublin, Pl. Litewski 2, tel. (fax) 280-20.
Druk: „LASER GRAF” 20-314 Lublin, ul. Przyjaźni 13, tel. 610-37.